

ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 22 grudnia 1912 r
Nr. 51.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Z OPŁATKIEM.

Niema chyba serca, któreby nie zadrżało na myśl o świątecznej chwili. Boże Narodzenie w Polsce ma za sobą tyle świetnych podań, ma tyle w sobie uroku i piękna, że nawet człowiek obojętny dla wiary, oczekuje tych kilku miłych chwil z wielkiem upragnieniem i tęsknotą.

Opłatek wigilijny, ten symbol łączni duchowej pokoleń, ten symbol miłości i jedności wzajemnej, stanowi naszą niezaprzeczoną własność, on zrósł się z nami i chyba zginie z nami.

Na kresach świata cywilizowanego, wśród śniegów syberyjskich, tam kędy mroźne tchnienie ścina wszystko, co żyje, opłatek stanowi dla zesłańców jedyną pamiątkę przesłaną z Ojczyzny. A tam za sinym oceanem Atlantyckim, w Ameryce, dokąd tylu naszych braci za pracą wyjechało, czyż nie oczekują z upragnieniem białego opłatka z stron rodzinnych? I wszędzie, gdzie tylko mowa polska brzmi, opłatek to znak widomy tej polskości!



Wieczerza wigilijna; ta wieczerza to druga nasza własność. Przy stole, sianem pokrytym, skupiają się rodziny, synowie Matki-Polski, przy nim łączą się wszyscy a łamiąc się opłatkiem, składają sobie szczere życzenia z głębi serca płynące.

O wierzajcie mili i drodzy Czytelnicy! W dniu tym myśl nasza, zajęta przez rok cały przy biurku redakcyjnym, oderwie się na chwilę od żmudnej pracy a przeniesie się ku Wam, aby z Wami dzielić się rodościami Waszemi i smutkami Waszemi; przeniesie się, aby w tem miłem otoczeniu odetchnąć trochę i zaczerpnąć otuchy w lepszą przyszłość. Myśl nasza poleci ku Wam, aby Wam wypowiedzieć z głębi serca nasze życzenia i zachęcić do dalszej pracy nad uszlachetnieniem dusz Waszych i do zakładania w nich podwalin wolnej i niepodległej Ojczyzny!

Myśl nasza poleci ku Wam, aby Wam życzyć tego, czem ona jest nawskróś przejęta, a to miłości Boga, miłości Ojczyzny, miłości współbraci Waszych, jedności i zgody.

A i Wy, kiedy zasiądziecie do tej prawdziwie polskiej uczty, kiedy będziecie się opłatkiem dzielili, wspomnijcie i o nas, jako o tych, którzy Wam rok cały służą, jak mogą najlepiej, według swej woli i wiedzy. Niech ta chwila wielka i święta połączy duchy nasze razem, jako dzieci jednego Boga i jednej Ojczyzny, choć ciałami mil dziesiątki jesteśmy od siebie oddaleni.

A Ty, Jezus Dziecię, podnieś rączkę i błogosław nas, jako tych, którzy się wzajemnie miłują.

Daj nam wytrwać w zgodzie i jedności, abyśmy, jako dzieci jednej Ojczyzny mogli jej służyć całem sercem i w jedności a miłości dążyć do jej wyswobodzenia. Użycz nam mocy ducha, abyśmy nie byli jako liście miotane przez wichry, ale jako stal twardzi w obronie Matki-Ojczyzny. Błogosław Jezu i daj nam moc a siłę.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

5. SZPIEG.

Wiktor — nie Sylwester. — Podejrzany o szpiegostwo. — Aresztowanie i wyrok.

Słowa kobiety podziałały na mnie piorunująco.

— Jak to! nie nazywa się Sylwester — zawołałem zdziwiony — jakże się więc nazywa?

— Wiktor! — odrzekła.

Spojrzałem na mego dawnego kolegę. Siedział spokojny, otulony w płaszcz szeroki, w wielkim, bandyckim kapeluszu, naciśniętym na oczy, błyszczące w cieniu jak dwa płomienie.

— Nic nie rozumiem! — rzekłem.

— A cóż tu rozumieć! — zawołał z wyraźną niechęcią w głosie Sylwester — czyż nie wiesz o tem, że w akcyi jak nasza, trzeba często zmieniać nazwiska? Wiktor, to moje przybrane imię tak, jak nim w swoim czasie było imię Sylwester, jak dawniej przezywano mnie Okularnikiem, gdym nosił okulary, jak jeszcze dawniej Czarnym... Co tu rozumieć!

Miał zupełną racyę. W spisku takim, jak nasz, dla uniknienia, a co najważniejsza zmylenia poszukiwań policyi rosyjskiej, trzeba było często zmieniać nazwiska. Było takich wielu, o których nikt nie wiedział, jak się właściwie nazywają. Do ich rzędu należał właśnie Sylwester, który skończywszy swą odpowiedź, wsparł głowę na dłoniach obu rąk i w jakieś smutne pogrążył się dumania.

— Więc teraz nazywasz się Wiktor? — zapytałem.

— Tak! — odrzekł, nie podnosząc głowy.

Zrazu to nowe przybrane imię nic mi nie przypomniało. Przytem w tej chwili wszedł do izby Jan i zwracając się do swej żony, rzekł głosem szorstkim i rozkazującym:

— Idź, przejrzyj wiklinę!

Milcząc, zawróciła się, podeszła do ławy pod piecem, gdzie leżała duża chustka, wzięła ją, zadziała na głowę, zręcznie ujęła w rękę fałdy swej czarnej sukni, ukazując maleńkie nóżki, rzuciła przelotnem spojrzeniem na mnie i Sylwestra i wyszła. Jan ścigał ją swym złośliwym i podejrzliwym wzrokiem, a gdy nakoniec drzwi za sobą zamknęła, zwrócił się do mnie i rzekł:

— Może pan porucznik napije się przepalanki? Mam dobrą, szwarcowaną.

Byłem oburzony na tego człowieka, za jego szorstkie obejście się z żoną, godną zaiste lepszego losu, i nie odpowiadając na jego propozycyę, zapytałem:

— Dlaczego wysyłasz żonę? Dlaczego sam nie idziesz?

Łysnął ślepiami i odparł mrukliwie:

— Dlatego, że ona rzecz tę lepiej i bezpieczniej zrobi od mnie.

Powiedziawszy to, zawrócił i znikł w ciemnym kącie. Miałem szczerą ochotę zwołać moich ludzi i kazać związać tego człowieka, bo budził we mnie podejrzenia, ale przypomniałem sobie zalecenia pułkownika i umilkłem. Ale jednocześnie przypomniał mi się rozkaz pułkownika, ażebym człowieka, noszącego nazwisko Wiktora, jeżeli go spotkam, ukarał śmiercią, jako szpiega. Przyznaję się, że mnie dreszcz przeszedł na myśl, że Sylwester może być szpiegiem. Zwróciłem się do niego i zapytałem:

— Więc ty nazywasz się teraz Wiktor?

— Tak! — odparł, nie zmieniając postawy.

— I znasz generała Bosaka osobiście?

— Znam.

— A wiesz ty o tem — zawołałem — że ja cię muszę aresztować?

Podniósł powoli głowę i wpatrzył się we mnie swym palącym wzrokiem i spytał chłodno:

— Dlaczego?

— Dlatego, że mam wyraźny rozkaz aresztować szpiega, noszącego miano Wiktora, i nietylko aresztować, ale powiesić.

— Ha! — rzekł — cóż? wieszaj!

Jego spokój, zimna krew, obojętność, z jaką wyrzekł te słowa, zrobiły na mnie silne wrażenie. Wszak znałem tego człowieka dotąd z jak najlepszej strony, a jednak wszystko przemawiało za tem, że on jest tym niebezpiecznym szpiegiem, którego wysłano ze stolicy, by dopomógł do schwytania przeprawiającego się generała. Cóż miałem robić? Jak sobie postąpić? Lękałem się strasznej pomyłki, pragnąłem, by się Sylwester-Wiktor wytłómaczył, usprawiedliwił, więc rzekłem:

— Bój się Boga! więc przyznajesz się, że jesteś szpiegiem, tym samym, którego mi kazano powiesić!

— Tak, przyznaję się!

— I chciałeś oddać generała w ręce naszych wrogów?

— Nie! tego nie przyznaję — przeciwnie, chcę ocalić go, dopomódz mu do szszęśliwego przedostania się do kraju.

— A jednak wszystko przemawia przeciw tobie.

— Masz zupełną słuszność.

Dotąd siedział, teraz powstał i rzekł:

— Czegoż czekasz? Każ mnie powiesić! Masz przecie wyraźny na to rozkaz.

— Niewątpliwie tak zrobię! — zawołałem zdumiony tym nadzwyczajnym spokojem Sylwestra czyli Wiktora; mimowoli czując szacunek dla jego niepospolitej odwagi.

— A więc kończmy prędko! — dodał z lekkiem, ledwie dostrzegalnem westchnieniem. Oczy jego, te przenikliwe, płomieniste oczy czarne, gdzieś zapatrzyły się w dal, jakby ścigały jakiś przedmiot, jakieś widmo przeszłości. Co do mnie, zdumiony jego spokojnem zachowaniem się, rzekłem;

— Tak, musimy to skończyć, ale wprzódy obowiązkiem moim jest wybadać pana. Wskazówki, jakie dasz, mogą być dla nas i dla sprawy pożyteczne. Nie ruszaj się pan! — zawołałem groźnie, widząc, że postąpił parę kroków — bo ci w łeb wypalę!

— Czy myślisz — rzekł — że mi idzie o życie? Z radością powitam jego koniec... Gdybym się chciał bronić, dawno byś już nie żył, albo leżał skrępowany u mych nóg. Dosyćby mi było gwizdnąć, strzelić, by nadbiegła tutaj straż, lub cały pluton żandarmeryi. Ale tego nie uczynię, oddaję ci się, wieszaj mnie zabijaj, wszystko mi jedno...

Usiadł znów przy stole i oparł głowę na obu rękach. Z nieokreślonem uczuciem smutku i mimowolnej czci dla tej tęgiej natury, zbliżyłem się do niego i rzekłem:

— Sylwestrze, wytłómacz się, usprawiedliw się! Wszak widzisz, jak mi ciężko na sercu, na myśl, że będę musiał cię powiesić. Czyż nie wzdragasz się na śmierć tak hańbiącą?

— Niema śmierci hańbiącej — odrzekł ponuro — śmierć jest zawsze pełną majestatu. A zresztą, wszystko jedno, jak umrzeć, byle raz umrzeć.

— Powiedzże mi przynajmniej, czy w rzeczywistości jesteś szpiegiem?

— Tak, jestem szpiegiem, prawą ręką naczelnika policyi Trepowa. Słyszałeś przecie o nim.

— I masz tu swych ludzi ze sobą?

— Mam. Ale bądź spokojny, nie ruszą cię oni, bez dania znaku, a ja im tego znaku nie dam.

— Więc chcesz umrzeć z wieczną plamą zdrajcy na swem imieniu?

Milczał przez chwilę, podniósł głowę i znów wzrokiem ścigał nieuchwytne jakieś mary, wreszcie rzekł głosem stłumionym.

— Cóż to znaczy? Ta, dla której pragnąłbym zachować czyste imię, nie żyje.. Cóż mi więc na tem zależeć może, co o mnie będą mówili? Tak, poruczniku Walery, chcę umrzeć i... o jedno cię tylko proszę, pospiesz się!...

— Ha! niech się więc tak stanie.

Postąpiłem parę kroków ku drzwiom, by zawołać Michałka i wysłać go po moich ludzi, gdy rozległy się kroki i w otwartych drzwiach ukazał się wachmistrz Burczymucha. Wszedł, spojrzał po izbie i spostrzegłszy mnie, przyłożył po wojskowemu rękę do swego chłopskiego kapelusza i rzekł:

— Panie poruczniku, wszyscy moi rekruci, mopanku, są już w wiklinie.

— To dobrze, sprowadź mi tu zaraz czterech ludzi i niech przygotują stryczek.

— Hm... mopanku... czy ma kto jechać tam?

Tu zrobił koło szyi znak, jak gdyby kogo wieszano i ręką wskazał ku niebu i stał z miną pytającą:

— Od jakiegoż czasu, wachmistrzu — zawołałem gniewnie, bom był mocno podrażniony sceną z Sylwestrem — ośmielasz się żądać odemnie tłómaczeń? Czy słyszałeś, com rozkazał?

— Słyszałem i będzie wedle rozkazu pana porucznika.

To rzekłszy, raźnie zrobił na lewo w tył zwrot i wyszedł z izby.

Przez całą tę rozmowę Sylwester czyli Wiktor siedział nieruchomy, z głową ukrytą w dłoniach, ze swym wielkim kapeluszem, naciśniętym na oczy. Gdy wachmistrz wyszedł, skazaniec podniósł się nagle, rozpiął płaszcz, sięgnął do kieszeni i wyjmując z niej całą paczkę banknotów, szepnął głosem stłumionym:

— Nim umrę, chcę cię prosić, poruczniku, o jedną przysługę. Tu, w tej paczce, jest dwa tysiące rubli. Weź te pieniądze i jeżeli kiedy powrócisz do Warszawy, proszę cię, kupuj za nie pierwszego dnia każdego miesiąca wiązankę fiołków, w zimie będziesz musiał je z daleka sprowadzać, i kładź ją na grobie, na cmentarzu, w kwaterze czternastej... Na grobie tym stoi kamienny posąg anioła i napis: »Tu leży Aniela«, nic więcej. Znajdziesz go łatwo... Czy zrobisz mi tę przysługę, tę ostatnią przysługę?...

Stał przy mnie i patrzał mi w twarz swemi przenikliwemi oczami z niemym, rozpaczliwym wyrazem prośby gorącej. Żal serdeczny mi było tego człowieka, ale pieniędzy przyjąć nie mogłem i misyi tej podjąć się także nie mogłem.

— Wiesz dobrze — odrzekłem — że życie moje każdej chwili jest narażone na śmierć; mogę do stolicy nie wrócić nigdy i prośby twej nie spełnić. Nie! pieniędzy tych nie wezmę. Jeżeli żyć będę i jeżeli kiedy zobaczę jeszcze nasze ukochane miasto, chętnie spełniać będę twe życzenie, ale pieniędzy nie wezmę.

Pomyślał chwilkę i rzekł smutno:

— Tak, masz racyę, ale w każdym razie przeżyjesz mnie i dlatego błagam cię, weź te pieniądze. Nie wrócisz do Warszawy, to postaraj się przesłać je tam, do jenerała Trepowa z wyłuszczeniem mej prośby. Trepow jest człowiek dziki, ma formy szorstkie i gwałtowne, ale przekonany jestem, że prośbie mej zadość uczyni. Weź więc pieniądze. Błagam cię, nie odmawiaj mi! Gdy będę wiedział, że to zrobisz, lżej mi będzie umierać. Ona... tak lubiła fiołki!... — dodał szeptem i znów twarz zakrył rękami.

Cóż miałem zrobić? Czy mogłem mu odmówić? Czyż mogłem nie spełnić prośby człowieka umierającego, prośby wypowiedzianej tak błagalnie i tak gorąco? Wziąłem więc pieniądze i przyrzekłem, że jeżeli wyjdę cało z obecnej imprezy, w pierwszem lepszem miasteczku odeślę je do naczelnika Trepowa, z wyszczególnieniem celu, na jaki przeznaczył je Sylwester, czyli Wiktor.

Wśród tego drzwi się otworzyły i wszedł wachmistrz Burczymucha na czele czterech moich ludzi, z których jeden trzymał w ręku gruby stryczek.

6. RATUNEK W NIEBEZPIECZEŃSTWIE.

Ponura scena. — Żandarmi rosyjscy. — Kapitan i Wiktor. — Aresztowana kobieta. — Badanie. — Ucieczka przemytnika.

Scena poczynała być straszną, najstraszniejszą może ze wszystkich obecnych, dla mnie. Nigdy jej nie zapomnę i dziś mi się jeszcze po nocach śni ta izba, słabo oświetlona dogasającem ogniskiem na kominie i nikłymi blaskami budzącego się dnia, który przezierał przez wąskie i zakurzone okienko. W tych blaskach nieruchomy i spokojny Sylwester, błądząc gdzieś oczami w dali, szepcząc zapewne modlitwę ostatnią. Przy drzwiach czerniało w ubraniach włościańskich czterech żołnierzy i wachmistrz Burczymucha, który wskazując palcem na Sylwestra, pytał:

— Czy to ten?

Nie mogłem odpowiedzieć, żaden wyraz nie chciał mi się przedostać przez usta; byłem jakby skamieniały. A tymczasem, Sylwester, widząc, że nie daję znaku życia, zwrócił się do mnie i rzekł głosem łagodnym i spokojnym:

— Na co czekamy? Przyrzekłeś mi, poruczniku, że tę sprawę prędko zakończymy. Jam gotów!

Czułem to doskonale, że okrucieństwem było przedłużanie tej sceny i miałem już wydać rozkaz, gdy nagle zewnątrz rozległy się szybkie kroki, drzwi gwałtownie roztworzyły się i do izby wpadł zadyszany Michałek, wołając głosem przerażonym:

— Żandarmy!

I ledwie to wyrzekł, gdy tuż przed domkiem zatętniały kopyta koni i zadźwięczały szable i nim mogłem oprzytomnieć, do izby wszedł oficer żandarmów; stanął i patrzał zdziwiony na nas wszystkich.

Za nim, przez otwarte drzwi, widać było błyszczące hełmy kilku jego podwładnych, którzy zatrzymali się w sieni. Oczywista rzecz, że miałem się za zgubionego, a co ważniejsza, obudziło się we mnie podejrzenie, że spokój i męstwo, okazywane dotąd przez szpiega Sylwestra, było udanem, że jakimś sposobem dał znać żandarmom. Ogarnął mnie szalony gniew i nieznacznie wydobyłem rewolwer, gotując się do wypalenia w łeb szpiegowi, oficerowi żandarmów i nakoniec sobie.

Tymczasem oficer zapytał:

— Co to za zebranie? Kto jesteście?

Ale w tejże chwili Sylwester rzekł spokojnie:

— Dzień dobry panu kapitanowi.

Oficer szybko zwrócił się do mówiącego i zawołał:

— A! pan Wiktor! A pan tu co robisz?

— Odpoczywam, czekając na chwilę działania.

— A co to za ludzie?

— To są moi ludzie z policyi.

— Skądże ich tu pan wziąłeś?

— Skądżeby, ze stolicy.

— Jak to? Przywiozłeś ich pan ze sobą?

— Nie! Oni sami przyjechali, oczywiście na moje żądanie.

— Nie wiedziałem o tem i szczerze mówiąc, nie rozumiem, co oni tu mają robić.

— Wybacz, kapitanie, ale to ani moja, ani pańska rzecz, tylko generała Trepowa. Racz jego o to zapytać.

Kapitan skrzywił się mocno i oglądając nas wszystkich podejrzliwie, spytał:

— Czy tylko pięciu masz pan ze sobą?

— O, nie? znacznie więcej, ale oni są rozproszeni po wiklinie nad rzeką.

— A dlaczegoż ci, tam się nie znajdują? — to rzekłszy, wskazał nas ręką.

— To są starsi, zeszli się tu, by wysłuchać mojej instrukcyi.

Kapitan mruknął coś pod nosem i nie przestawał oglądać nas bacznie i podejrzliwie.

— I to pan — zapytał wreszcie — tak ich przebrałeś po chłopsku?

— Ja... dla niezwracania niczyjej uwagi.

— Hm, hm! zdaniem mojem, należało mnie przecież o tem zawiadomić, bo mogłem pańskich ludzi wyłapać co do jednego.

— Nie miałem na to czasu. Przybyłem ledwie przed paru godzinami i nie wiedziałem, gdzie pana szukać. Zresztą wiadomo panu było o mojem przybyciu.

— Wiedziałem w istocie o tem, ale nic mi nie mówiono, że pan nie sam tu przybędziesz.

— Wybacz, kapitanie — dodał tonem żartobliwym Sylwester — ale my w policyi nie bardzo dowierzamy przebiegłości żołnierzy.

Kapitan nic na to nie odrzekł, ale wpatrując się ciągle w nas, odezwał się po chwili milczenia:

— Bądź co bądź, ponieważ ja nie wiem drogą urzędową, że pan wziąłeś ze sobą swych ludzi, ja tych wszystkich ichmościów tymczasem przyaresztuję!

Usłyszawszy te słowa, Sylwester wyprostował się, podszedł do kapitana i rzekł surowo:

— Strzeż się pan, to pachnie sądem polowym i kulą. Ja tu mam rozkazy generała Trepowa. Ostrzegam pana, że nie dam nikogo aresztować, że każę się moim ludziom bronić!...

Słowa te, wyrzeczone głosem stłumionym, tak, że moi i nieprzyjacielscy żołnierze nieco oddaleni, skupieni koło drzwi i ścian, nie mogli ich słyszeć, ale ja, stojąc blisko obu rozmawiających, słyszałem je doskonale, zrobiły wrażenie na kapitanie. Widać było wyraźnie, jak w jego twarzy i postawie walczył gniew gwałtowny, hamowany chłodnym rozsądkiem i nie wiem, jak i na czemby się ta walka była skończyła, gdyby nagle w sieni nie powstał niespodziewanie hałas jakiś. Żołnierze, stojący przy drzwiach, rozstąpili się i do izby wszedł porucznik żandarmów, a za nim dwóch szeregowców, prowadzących śliczną żonę Jana. Twarz jej wyrażała niczem niezakłócony spokój, powagę i jakieś rozmarzenie.

— Panie kapitanie — rzekł porucznik, salutując po wojskowemu — tę kobietę schwytaliśmy w chwili, gdy stojąc nad rzeką, dawała chustką jakieś znaki kilku ludziom, będącym z drugiej strony i wyglądającym na powstańców.

Kapitan jeszcze rozdrażniony mocno rozmową z Wiktorem, żwawo zwrócił się do milczącej i wciąż zachowującej swą chłodną powagę kobiety i zapytał:

— Coś ty za jedna?

Kobieta podniosła teraz na niego swe wielkie, czarne oczy z taką jakaś dumą, że kapitan odrazu zmiękł i starając się jak najusilniej złagodzić głos, w którym drżała jeszcze nuta gniewu, zawołał:

— Przepraszam, nie wiedziałem, ale kto pani jesteś?

— Jestem żoną Jana.

— Jakiego Jana?

— Właściciela tej chaty.

— A gdzie on jest?

Jan, o którym wszyscy zapomnieli i który przez ciąg tylu dramatycznych scen, jakie się w jego chacie rozgrywały, gdzieś się ukrył i znaku życia nie dawał, wystąpił teraz na środek i kłaniając się pokornie kapitanowi, rzekł:

— Jestem, nikiej się nie podziałem. Co miałem podziewać? Ja ta zawdy jestem na jasności dziennej? A to, proszę pana pułkownika, jest moja żona... sprawiedliwie mówię... Teresa, tu wszyscy o tem wiedzą. Ona jeno tak wyszła nad rzekę, nie na żadne przeszpiegi.

— Milczeć — przerwał kapitan — jak ciebie się zapytają, będziesz wtedy odpowiadał — teraz milczeć!

Jan spojrzał na kapitana, postąpił parę kroków w tył i przełykając głośno ślinę, rzekł:

— Dobrze... będę milczał... już nic nie powiem.

Kapitan zwrócił się znów do Teresy:

— Więc pani jesteś żoną tego człowieka? — spytał.

— Tak!

— Takiego durnia?... On ma jak najgorszą sławę; trudni się szwarcownictwem... ale mniejsza z tem, przekonamy się, czy to prawda. A tymczasem powiedz pani, coś robiła nad rzeką, jakie znaki dawałaś i komu?

— Nie dawałam nikomu żadnych znaków!

— Przecie schwytano panią, gdyś to robiła.

W tejże chwili Sylwester-Wiktor wysunął się z poza stołu i kłaniając mu się, rzekł spokojnie:

— Pozwól, kapitanie, ja wybadam tę panią.

I zniżając głos, dodał po francusku:

— Moja wprawa w tym względzie zmusi ją powoli i łagodnie do przyznania się.

— O! nic z tego, mój panie — odrzekł kapitan — moi ludzie tę kobietę schwytali i ona do mnie należy. Jeżeli tu zaraz nie wyśpiewa wszystkiego, to ją odeślę do Stopnicy *) a stamtąd do Warszawy i niech sobie tam z nią robią, co chcą. A pana proszę, nie mieszaj się do rzeczy, które do ciebie nie należą.

Sylwester-Wiktor nic na to nie odrzekł, tylko usiadł przy stole, nacisnął kapelusz na oczy i wydobywszy z kieszeni swego szerokiego płaszcza notatnik, począł w nim coś pisać ołówkiem. Tymczasem kapitan pytał dalej kobiety:

— Powiedz pani, coś robiła nad rzeką?

— Nic... patrzałam...

— Komu dawałaś znaki?

— Nikomu.

— To jest kłamstwo. Przecież schwytano cię na gorącym uczynku. Radzę pani przyznać się do wszystkiego. Mamy sposoby rozwiązywania języków. No! powiesz pani, komu dawałaś znaki nad rzeką?

— Nie powiem!

— Ach, to tak! — syknął kapitan — mógłbym panią tu zaraz oćwiczyć rózgami i zmusić do powiedzenia wszystkiego... Ale nie chcę uciekać się do tej ostateczności. Odeślę panią do miasta, tam potrafią cię zmusić do przyznania się.

To rzekłszy, zwrócił się do porucznika i rozkazywał:

— Oddaję ją panu pod straż. Wystarasz się o wózek i w towarzystwie dwóch szeregowców odwieziesz ją do Stopnicy!

---

*) Miasto powiatowe w gubernii kieleckiej, bliskie granicy galicyjskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BÓG SIĘ RODZI!



Otwarły się drzwi świątyni, do której poczęły napływać rzesze ludu pobożnego. Choć ziąb i mróz szczypały ich twarze, szli ochotni i weseli, zapomniawszy o smutkach całorocznych, gdyż powitać mieli Tego, który przyniósł im na świat zbawienie.

W kościele odezwała się pieśń:

»Spuście nam na ziemskie niwy
Zbawcę z nieba obłoki!«

Szła pieśń i biła o stropy świątyni i przedostawała się do nieba, gdzie po prawicy Boga zasiadał Jezus, Syn Jedyny Najświętszej Maryi Panny.

Szła pieśń a oblicze Stwórcy radowało się, że dzieło wiary, które Jezus zaniósł na ziemię, trwa tyle setek lat a żadne moce piekielne najmniejszej szkody mu nie uczyniły.

Najświętsza Marya Panna rzucała na Syna wzrok miłosny, szczęśliwa, że tak wielka ofiara nie poszła na marne.

Promieniało szczęściem oblicze Zbawiciela, gdyż widział, że wiara w Niego zatacza coraz szersze kręgi i że wnet nadejdzie czas, w którym będzie jeden Pasterz tylko i jedna owczarnia.

A gdy północ nadeszła w towarzystwie sługi swego, Anioła, zstąpił z niebios Pan nad pany, Bóg i władca świata całego; zstąpił z nieba na ołtarz do rzesz, które z utęsknieniam Go oczekiwały.

I gruchnęła pieśń:

»Bóg się rodzi moc truchleje»...

a głowy pochyliły się, jak kłosy na łanie, przed Panem i Odkupicielem swoim.

I szła pieśń radosna ku niebu, a tam na ołtarzu, utajony w Najświętszym Sakramencie radował się ten sam Jezus, który przed lat setkami leżał w Betleem, w stajence na sianku.

KOLENDA.

Idzie Kuba, Bartosz, Maciej,
Kędy gwiazda lśni,
Idą w kupie, brat przy bracie,
Zawdy człeku lżej.

Dmie-ci zamieć z zawieruchą,
Na nic poły rwie,
Za łeb targa, szczypie w ucho,
U rzęs wiesza łzę.

Ale Polak twarda sztuka,
Z zawieruchy kpi,
Czapkę maca, na wiatr huka,
A idzie — aż grzmi!

Choć mróż — skrzypkę wziął lipową
I precz na niej gra,
A głos idzie nad ponową:
Da dana, da, da!

Chłopska skrzypka z mrucznym basem
Chłopski ma-ci głos,
Zna go blady wrzos pod lasem,
Zna go w polu kłos:

Znają gwiazdy go srebrzyste,
Wbite w Wisły toń.
Znasz ty go, o mój Chryste,
Z naszych niw i błoń!

Bo co Tobie Jezusinku
Polak może dać?
Chyba z serca — cichutenko
Przy żłóbku ci grać.

Tedy w progu sobie siędę,
U cisowych wrót,
I grać będę ci kolendę
W onej gwiazdy wschód.

Staną Kuba, Bartek, Maciej
Schylą kornie skroń,
A Ty, Dziecię, nad mych braci
Wznieś swą Boską dłoń!

I błogosław polskie sioła,
Które zabrać chcą,
I te skiby dookoła
Z czterech nieba stron.

I błogosław chleb ten biały,
I ten śpiący kłos,
I bolesny, a nieśmiały
Z chat idący głos.

Znają gwiazdy go srebrzyste
Wbite w Wisły toń,
I znasz Ty go. o mój Chryste,
Z naszych niw i błoń!

Wigilia Hanusi.

Na boisku w przytykającej do chałupy stodółce o jednem zastroniu, Kuba Buczak rżnął na skrzynce sieczkę dla krowy, żeby przez całe godnie święta miała do doju jak się patrzy. Chłop rad był z siebie: przyniósł wczoraj babie zarobionych na młocce we dworze ośmnaście szóstek, a że cosi grosza tam było jeszcze w chałupie, więc kobiecina opędziła z tego wszystkie świąteczne wydatki, nowego zarobku nie ruszając. Robota szła mu raźnie; migiem ściął trzy snopki owsa i sięgał na zastronie po czwarty, gdy wrota się rozwarły i wsunął się mały, bosy chłopak.

— Tatusiu!

— Abo co?

— Nic...

— Pocóżeś przyszedł?

— Tak se ino zażryć...

— Pewnikiem wedle sadku, hę?

— A juści...

— Ja tam przyjdę do izby, jak narżnę sieczki — wynoś się.

— Kiej mi haw dobrze.

— A to se stój, kiej ci dobrze.

Chwilę ojciec pracował spokojnie, chłopiec stał, przebierając czerwonemi nogami, wreszcie nie mogąc wytrzymać, znowu się odezwał:

— Tatusiu!

— Abo co?

— Nie zimno to wam tak ciągiem rżnąć i rżnąć?

— Nie zimno, kiej się rucham, a ty się wynoś.

— Mieliście ten sadek ubierać... tatusiu! — zaczął płaczliwie, chcąc ująć ojca za rękę.

— Nie podchodź, Franek, bo ci kosa nogę utnie! A to utrapienie z temi dzieciskami!



Odjął rękę od kosy, aby chłopca odsunąć, lecz mały Franek uczepił się jej i prosił dalej:

— Chodźcie już tatusiu, mój złociuśki, chodźcie do tego sadku...

— Dyć ci sadek nie ucieknie, jeszcze do wiliji daleko, ubierzemy go na czas...

— Chodźcie tatusiu moiściewy, toli tak was proszę.

— Niechta już będzie na twojem, utrapieńcze, ale se pamiętaj, że ino dzisia przy tej świętej wiliji tak ci się udało...

Zamknął wrota od stodółki, puściwszy chłopca przodem i weszli do izby.

Pod blachą huczał wesoły ogień. Gosposia nastawiła już kapustę i groch i brała się do robienia klusek, najmłodszy Jaś spał w kolebce, a trzechletnia Kasia, siedząc na ziemi, gospodarowała w ducce z ziemniakami. U pułapu wisiała choinka.

— Wiesz Magda, jak ci mnie Franek wzion ciągnąć z boiska, a zachodzić na mnie, a przygadywać, tak mnie i wyciągnął — rzekł Kuba do żony.

Młoda kobieta, boso, w krótkiej czerwonej spódnicy i z zakasanemi rękawami, spojrzała na dziecko z błyskiem macierzyńskiej miłości i odparła, pogładziwszy go po głowie:

— Taki to już rak przyścipny, że nijakiej rady z nim niema... Adyć i ze mną tak wydziwia bez cały dzień...

Obwieszanie choinki jabłkami i orzechami, w czem pomagali ojcu z wielkim zapałem Franuś i Kasia uwagę dzieci tak pochłonęło, że nie spostrzegły, gdy stanęła obok nich ośmioletnia Hanusia, chowająca się w sąsiedniej chałupie.

Hanusia była to taka »przez ojca«. Dopóki matka, służąca w mieście płaciła za nią, Hanusia miała u Grochalów jako tako, ale od pół roku, gdy słych o matce zaginął, ile razy Grochal się upił, prał swoją babę bez miłosierdzia, że taki »głupi jenteres« zrobiła: dziewuchę żywią, ubierają, a grosza za to nie widzą. Niecierpliwa i obarczona czworgiem dzieci kobieta, z których najstarsza dziewczyna była w wieku Hanusi, nie żałowała też na nią ręki, chociaż dziecko było ciche, potulne i do wszelkiej roboty chętne. Z najbłachszej przyczyny wypędzano ją z domu. Zbita uciekała zwykle do Buczaków, którzy ją zawsze nakarmili i przechowali dopóki największa furya opiekunów nie minęła.

Buczak, spostrzegłszy dziewczę, zagadnął:

— Cóż, Hanuś, wygnali cię znowu?

— Nie, inom sama uciekła bez to, że gospodarz cisnęli na mnie butem i możeby zdzielili bez łeb, bo od samuśkiego rana byli źli. Siedziałam ciągiem za chlewkiem, alem strasznie zmarzła...

— Głupia, nie mogłaś to w te pędy przylecieć haw do chałupy? Dyś zesietniała jak nieboskie stworzenie.

— Śniadałaś? — zapytała Buczakowa.

— Kajem ta śniadała...

— Toli se przejedz, naści, maczaj se chleb w oleju, siednij haw wele pieca, to odtajesz...

Hanusia chwyciła ją za rękę, ucałowała, potem pobiegła do Kuby, czyniąc to samo.

— Widzisz Hanuś — rzekł Kuba — te trzy czerwone jabłuszka na samem spodku, to la ciebie. Uważuj se dobrze, żeby ci ten huncwot Franek nie oberwał.

Czarne, wypłakane oczy sieroty zaśmiały się do tego podarunku, lecz naraz spochmurniały, bo właśnie z hałasem wpadła Grochalowa.

— Pochwalony!

— Pochwalony!

— Znowuś haw Hanka? Leć duchem do dom, ułap gospodarza pod nogi i przeproś...

— Dy za co? — i dziewczę rozpłakało się w głos. — Ja się boję... ja ostanę...

— Cie ją! Ostanie! To się ostań, aż cię gospodarze wyrzucą. Kiej ci mówię: idź, to idź. A to skaranie boskie z tą dziewuchą. Żeby ja bez nią tyle miała piekła w chałupie, tyle poniewierki, tyle obrazy boskiej... Jesceś haw, sakramencka duszo? Nie ruchasz się?

— Dajciesz spokój — rzekł Buczak — nie niewolcie dziecka. Ostawcie ją, kiej się boi.

— Mądrzyście i wy! Ostawić! A juści. Wam zabawi dziecko, a do jadła to do mnie przyjdzie. Od niedzieli, jakiem ino dokumentnie się dowiedziała, że

ta psia wiara we żniwa tak mnie galanto wyrychtowała, że se umarła w śpitalu, a dziewuchę ostawiła mi na karku, mój ciągiem pije i pije, o nijakim zarobku nie myśli, i mnie, kieby psa ostatniego poniewiera. A wszystko bez nią. Dobrze wam jej folgować, kiej nie o waszą skórę idzie.

— E, nie pletlibyście — obruszyła się Buczakowa — dy wasz zawdy pił, zna go cała wieś, a tego jadła to tak nie wypominajcie, bo jak dziewucha ma co pojeść, to pewnikiem nie u was. Nie ma dnia, żeby to głodne haw nie przyleciało i nie oblizło czego...

— Jakosi nie upasła się z tego waszego jadła.

— Żeby ino poniewierki u was nie miała, toby się może i upasła, bo dziękować Panu Jezusowi la sieroty ociupina chleba zawdy u nas się znajdzie!

— Cie! cie! A może i na przednówku tego chleba tak straśnie dużo? Nie widzieli! Co za bogactwa! Grontu dwa stajonka i krowina, pożal się Boże...

Chłopu już było tego za wiele. Odłożył choinkę na bok, grzmotnął pięścią w stół i zakrzyknął:

— A do moich stajonek i krowiny wam zasie. Żeby dziewucha miała u was jak się patrzy, toby nie uciekała. A jakby przyszło co do czego, to haw lepszy przytułek najdzie przy tych dwóch stajonkach i przy tej krowinie, jak przy waszych czterech morgach. U mnie dzisia święta wilija; chcecie się swarzyć bez cały rok, to se piekło róbcie u siebie, a stąd się wynoście, pókim dobry.

* * *

Był zmierzch. Kuba zaświecił w izbie lampkę i wyszedł przed chałupę spojrzeć, czy nie zeszła już gwiazdka, która miała dać hasło do rozpoczęcia wieczerzy.

Magda w czerwonym gorsecie i koszuli z wyszyciem siedziała na ławie, dając piersi Jasiowi. Stół był zasłany czystą płachtą, pod którą podłożono słomy i siana, w kątach izby stały snopy zboża, choinka z jabłkami i orzechami, przybrana łańcuchem z kolorowego papieru, wisiała u pułapu. Nad stołem kręcił się »świat« — przedmiot wielkiego podziwu, Franusia i Kasi.

Dzieciak na rękach matki żywe niezadowolenie okazywał z pokarmu; złościł się, popłakiwał, kopał nóżkami. I nie dziw. Magda sama była setnie głodna, aż ją chwilami mroczyło. Pościli bo też oboje od rana jak Pan Bóg przykazał. Ale lada chwila zasiędą, połamią się optatkiem i pojedzą se za wszystkie czasy. Był przecie groch z kapustą, dwa śledzie, kluski z makiem, placek z olejem i suszone śliwki. Dziękować Panu Jezusowi wilija nie byleja...

— Ano stawiaj, babo, co Bóg dał, już nade dworem zeszła gwiazdeczka — rzekł Kuba wesoło, wchodząc do izby.

— Tatusiu — zawołał Franuś, czepiając się ojca — ja se kole was siędę.

— A siednij, kaj chcesz, niech ta już bez cały dzień będzie na twojem! A ty, Hanuś, kole Franka, hę? Cóżeś się tak zasumowała! Rozochoć się dziewucho, nie wzdychaj. Już do tamtych nie wrócisz! U nas ci zawdy było raźniej, to i będzie. Adyć ty już kieby nasza.

— O mój gospodarzu — chciała sierota dziękować, chwytając go za rękę.

Lecz Kuba się żachnął:

— Niema haw nijakiego gospodarza i gospodyni, ino jest ociec i matka. To se zapamiętaj przy dzisiejszej świętej wiliji!..

Edmund Zechenter.

Nowe książki.

Marya Zabojecka: **Powieść o duszy polskiej. Ojcowie** Kraków. Spółka nakładowa »Książka«.

Jak każdy pojedynczy człowiek ma cel, do którego dąży, a który ma go uszczęśliwić, tak każdy naród myśl swoją kieruje w jedną stronę, ku celowi okroć wyższemu, jakim jest dobro ojczyzny. — Jak dążenia jednego człowieka przechodzą na potomstwo, tak samo dążenia wybitnych jednostek w narodzie, miłujących swą ojczyznę, przechodzą na następne pokolenia i tym sposobem dusza narodu trwa ciągle i nieprzerwanie. Twierdzenie to udowadnia »Powieść o duszy polskiej«. Dowody na to czerpała autorka z pamiętników bojowników i męczenników za sprawę Polski. Z umiejętnego powiązania faktów i wspomnień nabiera czytelnik przekonania, iż ciała się tylko zmieniają, lecz duch narodu jest niezmienny — trwa zawsze. Książkę czyta się z wielkiem zajęciem.

Biblioteczka Jadwigi z Łobzowa. Kraków. Nakładem autorki.

W ostatniach latach zaczęły się wśród mniej oświeconych ludzi rozchodzić w setkach tysięcy rozmaite sensacyjne a zgubne dla duszy ludzkiej utwory, jak Sherlok Holmes i inne. Opisując zbrodnie różnego gatunku, przepełniały umysł czytelnika samą zgnilizną moralną i zabijały jego duszę. Aby temu zapobiedz, powzięła znana i ceniona autorka, Jadwiga z Łobzowa, zbawienną myśl wydawania niewielkich książeczek o treści zacnej, moralnej, przeważnie patryotycznej. Na skutki nie czekała długo, gdyż wkrótce na półkach księgarskich pojawiło się 57 tomików jej utworów w liczbie 150.000 egzemplarzy. Że autorka dawała rzeczy dobre, najlepszym dowodem to, iż w stosunkowo krótkim czasie zostało kilkanaście tomików jej biblioteczki zupełnie wyczerpanych. Utwory jej sceniczne. jak »Matka żyje«, »Za sztandarem« i »Rycerze Jadwigi« zostały bardzo życzliwie przez rodaków przyjęte i grane przez kilka lat na scenach amatorskich. To zachęciło autorkę do napisania i wydania nowych obrazków scenicznych jak: »Dla ojczyzny« (tomik 43), „Nieskończony bój« i »Na straż« tomik (54 i 55), które zasługują w zupełności na takie przyjęcie, jakie spotkało poprzednie. — Inne książeczki zawierają legendy, powiastki (przeważnie patryotyczne), wierszyki i t. p.

Biblioteka nowelistyczna. Pan Jan Czarnecki, właściciel księgarni w Wieliczce, rozpoczął pod powyższym tytułem wydawnictwo krótkich utworów powieściowych (nowel). Pierwsze dwa tomiki tworzą nowele wojenne jednego z najsławniejszych powieściopisarzy francuskich *Guy de Moupassant* p. t.: »*Krwawy rok*« i »*Widma wojny*«. Są to arcydzieła, osnute na tle wojny 1870 i 1871 r. pomiędzy Francyą a Prusami. Przekład doskonały, druk ładny, zalecają bardzo te książki. Tomik trzeci owej »Biblioteki« stanowi zbiorek nowel *Heleny Filichowskiej* p. t. »*Czarne łabędzie*«. Styl potoczysty, niekiedy wybredny, cechują utwory młodej autorki. Jako tom czwarty wyszły »*Bajki i satyry*« pisarza rosyjskiego *Sałtykowa-Szczendryna*, pierwszy raz wydane w oddzielnej książce. Dalsze tomiki w druku. Każdą książkę zdobi ładna okładka z winietą Piotra Stachiewicza. Cena pojedynczej książki, stanowiącej dla siebie całość, wynosi 1 k. 50 h.

Wierna rzeka, głośna powieść Stefana Żeromskiego, osnuta na wypadkach 1863 roku, ukazała się w ubiegłą sobotę na pułkach księgarskich w wydaniu książkowem nakładem »Krakowskiej Spółki wydawniczej Książki«.

Zwyczaje wigilijne na świecie.

Żadne święto chrześciańskie nie jest obchodzone tak uroczyście, a zarazem tak rozmaicie, jak Boże Narodzenie.

Choinki, zwyczaj niemiecki, przeszedł do krajów słowiańskich, do Anglii, a nawet do Ameryki Północnej. Wedle panującej tam legendy, św. Mikołaj, patron grzecznych dzieci, pod postacią karzełka, okrytego futrami, w noc wigilijną wchodzi kominem do mieszkań i daje rozmaite zabawki.

Wieczór wigilijny święcony bywa w Ameryce i innym zwyczajem. We wszystkich prawie hotelach, restauracyach i kawiarniach rozdawany jest w tym dniu darmo punch jajeczny. Na tydzień przedtem wywieszone są w tych lokalach zaproszenia.

Korzysta z nich mnóstwo osób, a mają prawdziwą uciechę z jedzenia, gdyż gospodarze prześcigają się w częstowaniu przysmakami. Pod koniec śniadania podają punch, przyrządzony z mleka, jaj, wódki i korzeni.

Dzień wigilijny jest w Ameryce Północnej uważany za bardzo szczęśliwy do zawierania związków małżeńskich. Nigdy też nie odbywa się tyle ślubów, co w tym dniu.

W Anglii niema naszej pięknej wilii, ani łamania opłatkiem. Przybranie choinki z zapalonemi świeczkami, z rozłożonymi podarkami staje się tam coraz powszechniejsze, ale w wielu domostwach ma to miejsce nie w wigilijny wieczór, ale w sam dzień Bożego Narodzenia.

Piękny obyczaj wigilijny panuje w Norwegii: tam ptaki bywają »zapraszane do stołu«. Przed domami stawiają na słupach deseczki, posypane obficie ziarnem, aby i Boże śpiewaki mogły brać udział w radości z powodu narodzin Chrystusa.

Na greckiej wyspie Chios w dniu wigilijnym dzieci biegają z piosenkami od domu do domu i otrzymują orzechy, figi, rodzynki itp. Mieszkańcom tej wyspy nad morzem Egejskiem znane jest Boże Drzewko; przystrajają je nie rodzice dla dzieci, lecz dzierżawcy i czynszownicy dla właścicieli ziemskich. Na dużym pręcie przywiązują oni gałązki drzewa oliwnego, mirtu i pomarańczy, wtykają w nie anemony, geranje, oraz inne kwiaty sezonowe i tę »południową choinkę« obwieszają różnymi owocami. W pierwszy dzień świąt ze trzystu czynszowników zjeżdża z okolicznych wiosek z takiemi gałęziami w ręku; do siodeł mają przytroczone po parę sztuk drobiu; przed domem właściciela gruntu zatykają gałęzie, następnie czerpią dla niego ze studni tyle wody, ile potrzeba na święta. Za ten podarek i za tę usługę otrzymują suty obiad i »gościńce«.

Nigdzie na świecie wieczór wigilijny nie jest obchodzony tak hałaśliwie i wesoło jak w Neapolu — fajerwerki, pochody z palącem łuczywem, iluminacye domów i gmachów, ruch, gwar, śmiechy, przerywane są głosem dzwonów, wzywających na Pasterkę.

W Hiszpanii panujn zwyczaj, niepraktykowany w żadnym innym kraju: w noc wigilijną, gubernator wojskowy Madrytu, oraz innych większych miast odwiedza więzienia wojenne i obdarza wolnością najmniej winnego przestępcę. Z nadejściem zmroku, przed obrazami Matki Boskiej zapalone są świeczki, wszyscy czuwają, aby o świcie udać się na Mszę pierwszych kurów — tak zowią w Hiszpanii Pasterkę.

Po nabożeństwie Hiszpanie palą ognie, strzelają z moździerzy, śpiewają i tańczą po ulicach, a swoją wigilię, swoją dobrą noc (noche buena) obchodzą jak my wieczerzę rodzinną i przyjacielską, która ma swoje tradycyjne, przepisane potrawy, tylko odbywa się dwa razy: jedna postna wieczorem, druga mięsna, huczniejsza, po nabożeństwie.

Francya przyswoiła sobie zwyczaje gwiazdkowe angielskie i niemieckie: a więc: choinkę, pudding, gałęzie jemioły. W południowych jej prowincyach głowa rodziny zapala wigilijną kłodę w kominie — ma ona jakoby płonąć do wiosny.

Bardzo podobny zwyczaj spotykamy u Słowian, mianowicie u Serbów i Bułgarów, w noc Bożego Narodzenia rzucają oni na ogień kłodę dębową, zwaną »badniakiem«.

W wielu miejscowościach francuskich nad drzwiami zapalone są lampki, będące symbolem Gwiazdy Betlejemskiej.

Najszczytniejszym jednak obyczajem, wspólnym wszystkim krajom cywilizowanym, jest obdarzanie w tym dniu ubogich dzieci. Doroczna gwiazdka rozprasza bodaj na chwilę mroki nędzy i głodu



W stajence cichej — brak miejsca dla pychy.

Gdy mędrcy otoczyli żłóbek Jezusowy,
Koń z wielbłądem do szopki też wetknęli głowy,
Wsunął i słoń swą trąbę i tak poglądają —
Jak ich panowie dary Dzieciątku składają.

Wtem ujrzą: wół i osieł przy drabince siana
Tuż u żłóbka!.. obadwaj huhają na Pana!
— »A to co?!« pyszny arab wnet gniewem wybucha:
»Czy widzicie przy żłóbku Pańskim kłapoucha?

To my na grzbietach naszych »królów« — Bogu dzięki —
Nie kogobądź przyniósłszy do tej tu stajenki,
Wejść do niej nie możemy; a to głupie zwierzę:
Dardański osieł jest w niej i uszami strzyże,

A ukląkłszy za żłóbkiem na oba kolana,
Macha z radości chwostem i hucha na Pana!...
Najgłupsze zwierzę w świecie!... Czy coś podobnego
Widział świat kiedy? Czyż mnie, konia arabskiego

Niemógł ten zaszczyt spotkać?. Czyż się nie godziło —
By nas trzech: Słoń, koń, wielbłąd do szopki wkroczyło
I czyniło honory Panu?... Oczywiście:
Składniej byłoby Panu przy naszej asyście!...

Ach! teraz w świecie wszystko na opak się dzieje!
Patrząc na tę oślinę — omal nie zemdleję...
Głupi ma wyraz twarzy! — O Boże na niebie!
Pozwolisz, aby osieł ten huchał na Ciebie?«

Tak mówił koń, a wielbłąd i słoń łby wstrząsają,
Brwi marszczą — znać, że zdanie jego podzielają,
Kierując na osiełka wzgardliwe spojrzenie,
Jakby rzec chciały: Cóż to za głupie stworzenie!...

A osiełek nic na to. Lecz wół, sąsiad jego
Nie mógł zdzierżyć tej mowy i tak rzekł do niego:
— »Niech ci, koniu, twe słowa Pan Jezus przebaczy;
Głupim jest — lecz nie osieł, a ktoś inny raczej.

Wyście trzech królów ziemskich na sobie nosili,
Do stajenki byście się wszakże nie zmieścili,
Bo niski jest przybytek Baranka cichego,
Nie masz w nim pomieszczenia wcale dla »pysznego!«

Zazdrościsz i urągasz jeszcze osiełkowi:
Że dano w żłóbku jego spocząć Jezusowi?!...
Nie zazdrość, nie urągaj — toć stworzenie Boże
Jak i ty — a nasz Stwórca kocha się w pokorze;

On się Ojcem pokornych i cichych ogłosił
I będzie jeszcze osieł Pana Boga nosił —
Dla swej pokory; ty zaś nie dostąpisz tego,
Boś pyszny, a Bóg nie jest łaskaw na pysznego».

Jacek Obrochta.

Hej! dzionek wigilijny się zbliża...

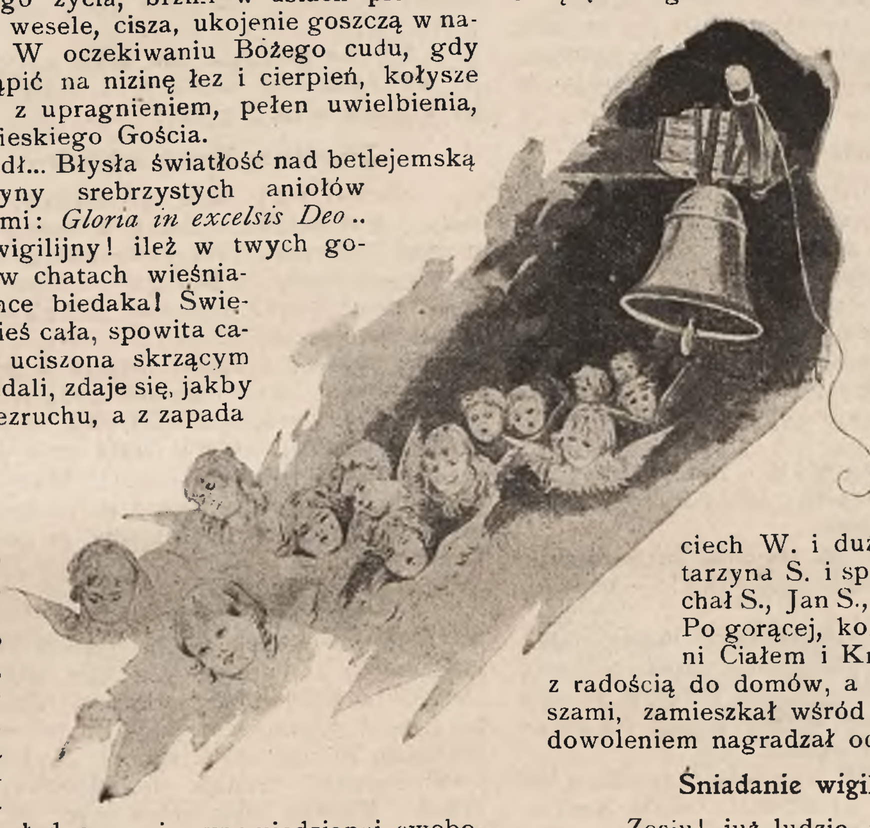
Sporządzili, usiedli i zjedli — a potem kolędy, pogwarka, wróżby i pasterka.

Wigilia Bożego Narodzenia! Wielkie słowa, urocza to chwila dla każdego Polaka! Ileż ona budzi wspomnień z młodości, jak czarowne obrazy przesuwa przed oczy nasze, kiedy na strunach pamięci odezwą się lata ubiegłe. Wstaje wówczas przed nami promienna przeszłość z lubemi wierzeniami, gdy piersi wrzały tysiącem pragnień — ukazują się drogie, niestety, niepowrotnie pożegnane postacie, wypełniając sobą tło zamierzchłego wczora...

Każdy z nas w tym dniu przeżywa minione koleje życia, a pieszcząc się różowymi snami przeszłości, z otuchą wyciąga dłonie do pogodniejszego jutra. Choć na kilka chwil spada z naszych bark troska mrocznego życia, brzmi w ustach piosenka kolędy, radość i wesele, cisza, ukojenie goszczą w naszych duszach. W oczekiwaniu Bożego cudu, gdy Zbawca ma zstąpić na nizinę łez i cierpień, kołysze się świat cały, z upragnieniem, pełen uwielbienia, z tęsknotą niebieskiego Gościa.

I oto zeszedł... Błysła światłość nad betlejemską stajenką, drużyny srebrzystych aniołów głoszą całej ziemi: *Gloria in excelsis Deo*..

Dzionku wigilijny! ileż w twych godzinach uroku w chatach wieśniaczych, w lepiance biedaka! Świętuje wówczas wieś cała, spowita całunem śniegu, uciszona skrzącym mrozem, że z oddali, zdaje się, jakby skostniała w bezruchu, a z zapadającą nocą zaległa w sen głęboki — lecz to złuda! Zaglądnij tylko do wnętrza chat, ileż tam krzątaniny od samego rana, ile śpiewu, gwaru, tajemniczej wieszczby.. Z każdego kąta bije nadmiar rodzinnego ciepła, serdecznej słodyczy, niewypowiedzianej swobody i szczęścia!



Dosyć przejść się po wsi, by w każdej izbie natrafić na jakiś moment rzewny, być świadkiem uroczych scen, które wypełniają dzień i wieczór wigilijny!

Wczesnym rankiem.

W zagrodzie Józefa G. zwykle wesoło, pełno krzyków, gonitwy i często płacz słychać. Nic dziwnego! Chowa się tam siedmioro dzieci, a młodzi rozpieszczeni dostatkiem, zepsuci słabą ręką matki, nie zawsze się między sobą zgadzają, zwłaszcza, gdy nie czuwa nad niemi wzrok ojca.

Ot i teraz! Zaledwo wstali, już wszczęli kłótnię. Bronek klęczy a Władek go dusi za szyję. Mówią oni jeszcze na głos pacierz, więc im poszło o to, który z nich we wilię ma go zmówić pierwszy! Na krzyk Bronka weszli do izby rodzice. Ojciec chwycił za rózgę i parę razów wymierzył Władkowi a matka odezwała się w te słowa:

— Pamiętajcie, dzieci, że kto we wilię w skórę dostanie i płacze, ten będzie bity i będzie płakał przez wszystkie dni w roku!

Przestroga matki przeraziła dzieci, każde z nich strzegło się, by sprzeczki nie wywołać z drugiem; cisza, spokój trwały w izbie, nikt nie dostał, nikt już nie płakał w wigilijny dzień... Tak będzie w tym domu przez cały rok Boży!

Na roraty.

— Szósta dochodzi! Dziś wszyscy na Mszę św. pójdziemy, w domu, przy kuchni tylko matka pozostanie — rozporządził Jan K. — zawiesił na piersiach różaniec, zapalił latarkę, wdział kożuch i puszczając przed sobą ubrane już do kościoła dzieci, ze słowami: Zostań z Bogiem, Marysiu! — otoczony gromadką swych pociech, podążył na ostatnie w tym roku roraty!

W kościele.

W oświetlonej nawie gromadzą się wierni, a zastęp ich liczny, boć to ostatnie, wigilijne roraty. Zajęczał dzwonek zakrystyjny, wyszedł kapłan ze Mszą świętą. Rozgłośnie zahuczały organy smętną melodyą adwentu, zanucił organista hymn kościelny: *Rorate coeli desuper* — Spuście nam niebiosa rosę; po chwili rozbrzmiały Godzinki: »Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą« — i tak młodzi i starzy w skupieniu, zamodleni, szczęśliwi słuchali Ofiary bezkrwawej.

Ecce Agnus Dei — Oto Baranek Boży — odezwał się głos kapłana ze stopni wielkiego ołtarza. Na to hasło przyklękła u balasek: Ewa W., Marya K. — i tyle innych matek; Michał K., Wojciech W. i dużo ojców; Anna K., Katarzyna S. i spora liczba dziewcząt; Michał S., Jan S., a z nimi inni młodzieńcy. Po gorącej, kornej modlitwie, nakarmieni Ciałem i Krwią Baranka, rozeszli się z radością do domów, a Jezus, złączony z ich duszami, zamieszkał wśród rodzin i szczęściem, zadowoleniem nagradzał oddanych sobie...

Śniadanie wigilijne.

— Zosiu! już ludzie wracają z kościoła, przygotuj śniadanie!

— Cóż będziemy jedli?

Drzwi się otwarły, wszedł Wojciech M., tuż za nim przybiegła reszta domowników. Złożyli świętalne ubrania i pomęczeni koło stołu siedli. Zosia podawała im gorącą herbatę, a matka, chleb krając i muskając powidłem, mówiła:

— Skromny posiłek, coś jeszcze dostaniecie na obiad i o tem macie do wieczerzy wytrzymać!

— A czemu to tak mało będziemy dziś jedli? — zapytała ze drżeniem malutka Jadwinia.

— Żeby się Bozi przypodobać, który się dzisiaj w stajence narodzi!

Przygotowania na święta.

— Zaraz pójdziemy rżnąć sieczkę. Potem na dwa dni dla bydła wszystko przygotować: nawiązać siana, nasiekać buraków, nawozić ziemniaków z piwnicy. Hanka! przysposób drzewo na opał. Jędrek! uwiąż wiązankę siana na stół pod opłatki i porządny snopek żytniej słomy postaw w kącie przy łóżku. Ignac! weź się zaraz do czyszczenia butów dla

wszystkich na jutro. Zwijać się raźno, bo dzień krótki, wnet będzie południe!

Wydawszy te rozkazy, Jakób S. zabierał się do wyjścia, aby przypilnować wykonania poleceń, a w tem go synek najmłodszy zapytał:

— Tatusiu! a czemu dzisiaj będziecie aże na dwa dni robić?

— Bo jutro i pojutrze będzie wielkie święto!

Zajęcia kobiece.

W obszernej izbie Wawrzyńca F., Rózia przy pomocy siostry swej Anny, nie na żarty wzięła się do sprzątania! Wybieliła wapnem plamy na piecu, pozbierała ze ścian pajęczynę, kurz pościerała ze sprzętów i obrazów; ławki, stół wymyła na podwórzu, a potem wzięła się do zamiatania podłogi. Wynajdywała śmiecie po kątach, za nogami łóżek i szafy — nic nie uszło jej uwagi! Tymczasem Anna, podlawszy wazoniki z kwiatami, rozwiesiła wyprane firanki na okna i porządkowała to i owo po izbie.

Milutko, czyściutko, wesoło zrobiło się w całej stancyi, aż pachnął porządek, a młode gospodynie, skończywszy robotę, z zadowoleniem uśmiechały się do rodziców...

Przy gotowaniu wieczerzy.

Rezolutna Julcia G., plątając się pod nogami matce, która doglądała gotujących się pokarmów, pytała:

— Mamusiu! po co wy dziś na noc gotujecie! Tyle garnków stoi na nalepie! W jednym wodzianka z grzybkami, a w niej »śtuka« ze śledzia, w tym wreją »paluchy«, w tamtym pierogi ze śliwkami, tu makaron i ryż, pewnie będzie z cukrem i z cynamonem — ja to bardzo lubię — tam kapusta i kompot z jabłek, na brytwannie »piskory«. Kto to wszystko zje?...

— I placków tyle napiekli z rodzynkami, ale je wynieśli do komory, żeby wystygły! — dodał Jaś z żałosnem westchnieniem...

Izby w wigilie — to stajenki betlejemskie.

— Wieczerza wnet będzie gotowa! — oświadczyła Zofia M.

Na tę wiadomość wysunęła Karolcia na środek pokoju szeroki stół, rozłożyła po nim pachnące siano, nakryła je białym obrusem, na nim położyła wiązkę siana i opłatki. Tymczasem Staszek począł rozrzucać po podłodze źdźbła słomy i siana.

— Mamo! co on robi! Karolcia zamietła, a on znowu śmieci — skarżyła przed matką mała Stefcia.

— Tak ma być, moje dziecko! Popatrz! izba nasza wygląda teraz jak stajenka, w której się P. Jezus narodził. W szopce betlejemskiej na podłodze była pewnie słoma i siano; stół przedstawia żłóbek; siano na stole przypomina nam to sianko, którem Matka Boża otuliła Dziecię; biały obrus — to pieluszki, a opłatki — to P Jezus.

— A w stajence stał wół i osiołek — wtrącił niespodzianie szkolnik.

Obecni wybuchnęli śmiechem, a ojciec wyrzekł poważnie:

— Tym osiołkiem ty jesteś, mój synu!

Najmilsza chwila dla dzieci.

U Józefa F. zebrały się w gromadkę dzieci i radzą, w którem miejscu ustawić choinkę.

— Tak, by ją było widać z gościńca, więc przy oknie! zawyrokowała Mania.

Rozkoszną jodełkę umieszczono w beczułce z owsem i ubierano dostatnio. Czerwieniały jabłka, złociły się orzechy, kołysały na gałązkach figi, rozwieszano aniołków i dyabłów, uczepiono świeczki kolorowe, a kiedy skończono strojenie, objął straż nad drzewkiem czteroletni Józiu i z gaśnikiem w rękach chodził dookoła choinki, poglądając z tęsknotą na wiszące przysmaki...

Wyglądanie gwiazdki wigilijnej.

— Jak nie widać, tak nie widać, już mię oczy bolą, a gwiazdki zobaczyć nie mogę! Mamusiu! mnie się tak jeść chce — zawodziła Anielcia Ch., odchodząc od okna po raz dziesiąty i znowu przez szybę wypatrywała na niebie gwiazdki, po której ukazaniu się miano rozpocząć wieczerzę.

— Szukaj dobrze, ona tam gdzieś błyszczy!

Na dworze mróz był tęgi. Wilgotne szyby okrywały się srebrzystymi, śnieżnymi kwiatami, okienko zamarzało, zmniejszał się coraz bardziej widok na niebo. Anielcia poczęła chuchać na szybę i paluszkami zdzierała śniegową powłokę. W tem brzęk! Szyba prysła pod naciskiem, dziecko z płaczem odskoczyło od okna, a matka, na widok szkody, uniesiona gniewem, uderzyła parę razy córeczkę po plecach...

Biedne dziecko! tak przez cały dzień uważało, by nie zgniewać matki i na nieszczęście ta szyba była tak krucha i pękła!

Zaczęli się łamać opłatkiem...

Stanęli przy stole gromadnie, Marya K. rozdała domownikom opłatki, a łamiąc się z babką, mężem i dziećmi, życzyła każdemu świąt wesołych i błogosławieństwa Bożego w całym roku. Rzewna to chwila, Bóg z miłością patrzy na to widoczne zbratanie się najbliższych w rodzinie i życzenia, wyrażone prosto, z serca, ziszcza z pewnością. Tak mało mówią: babci zdrowia i humoru dobrego; mężowi zgody, wyrozumiałości, miłości wspólnej w małżeństwie; Halszka! byś była nam pociechą; Wiktorku! byś się dobrze uczył! Maleją opłatki, wzajemnie łamane, drżą ręce z rozczulenia, a serca biją im głośno z radości i szczęścia, że doczekali wszyscy nowej wigilii...

Usiedli i jedzą...

Do wieczerzy usiadła rodzina Michała K. Znikają dania, bo uczestnicy głodni, więc jedzą żwawo, co kto bardziej lubi... Starsi próbują wszystkiego po trosze, szkolnicy czekają na paluchy, Helka wygląda na pierogi ze śliwkami, Tadek zerka na ryż z cynamonem. Śmieją się, dogadują, a jedzą bez końca... Kiedyż sobie człek poje, jak nie we wiliję!

Odezwały się po domach kolędy.

Marya S. otwarła kantyczki, rodzeństwo otoczyło ją w koło, na boku usiedli rodzice. »W żłobie leży, któż pobieży« — zabrzmiała serdeczna kolęda. Po skończeniu jednej, zaczynano drugą, cały dom napełnił się śpiewem. Ochrypła Walerka, często zawodziła pamięć Zosię, lecz gdy się odezwała nowa, skoczna melodya, znowu chór się wzmagał!

Już się rozśpiewała wieś cała, z każdej chaty dolatują rozmaite nuty, z tej: »Anioł pasterzom mówił«, tu: »Cztery lata wołkim pasał«, stamtąd: »Przybieżeli do Betlejem pasterze«, gdzieindziej: »Pójdźmy wszyscy do stajenki«. Noc już była późna, gdy ścichły śpiewy ostatnią kolędą: »Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi«..

Ceremonia w sadzie.

W ogrodzie Michała L. odezwał się głos chłopca, który, uderzając obuchem siekiery w pień jabłoni, mówił uroczyście: »Ja cię utnę!« Na to ojciec, obwiązując jabłoń powrósłem, odpowiadał: »Nie ucinaj, będzie rodziła!« I tak szli coraz dalej w sad,

nadsłuchując, jak z całej wsi dolatywały podobne okrzyki i po głosach rozpoznawali znajomych.

— Mamo! co oni robią? — pytała Władzia.

— Obwiązują drzewa, a na wiosnę, gdy zdejmą powrósła, będzie w nich dużo robaków i gąsienic. Te powrósła trzeba spalić, bo gdyby się gąsienice po drzewach rozeszły, zjadłyby pączki kwiatów, nie mielibyśmy owoców — objaśniała matka.

Choć raz w rok porządnie umyci.

Przy piecu stoi balia z ciepłą wodą, a obok niej w koszulinach dzieci. Najmłodszemu Maciusiowi R. matka bez miłosierdzia trze mydłem czuprynę, myje ręce, głowę, szyję, piersi, podczas, gdy inni, patrząc ze strachem na tę niezwykłą operacyę, czekają swej kolei.

— Mamo! mnie nie tak bardzo, ja czysta! — prosi Józia ze łzami w oczach.

— Niechże was choć raz w rok porządnie wymyję! Trudno, taki zwyczaj! Chodź, dawaj głowę!

Płakali, darli się w niebogłosy, parskali mydłem, lecz gdy po skończonej kąpieli układała ich matka do łóżek pod ciepłą pierzynę, jakże się czuli rzeźwi i zadowoleni...

— Żeby nas to mamusia tak co tydzień myła — zwierzała się figlarna Józia bratu Wiktorkowi.

Czy się wydadzą?

Obok stolika usiadły Józia i Zosia i z pod obrusa poczęły wyciągać ostrożnie badylki trawy i siana.

— Jeżeli natrafię na piękną, zieloną gałązkę z listeczkami, pewnie w tym roku już wyjdę za mąż...

Próbowały szczęścia obie, lecz do trzeciego razu wyciągały pomięte, mizerne, bezlistne łodyżki...

Tajemnicza rozmowa.

Nietylko ludzie, lecz i bydło obchodzi wiliję... Katarzyna, obmywszy naczynia z wieczerzy i włożywszy do pomyj kolorowe opłatki, wyniosła sporządzony napitek do stajni, by dać się napić po trosze bydłu. Gdy po chwili wróciła, Kubuś zapytał nieśmiało:

— Prawda to, że w wilije bydło mówi?

— Tak! opowiada, kto je bił, kopał, znęcał się nad niem; idź do stajni, przysłuchaj, co na ciebie mówią!

— Kiedy się boję! — odpowiedział przestraszony synek.

Wróżba urodzaju.

Do izby wszedł Szczepan, otrzepał śnieg z butów i zawyrokował:

— Chwyła Bogu! wiatr od wschodu wieje, będzie w tym roku urodzaj!

Będzie czy nie będzie?

U Jana W. zeszła się gromadka ludzi na pogwarkę. Gawędzono o tem i owem, aż rozmowa zeszła na wieści o wojnie. Ścierały się zapatrywania, mnożyły domysły, roztaczano strategiczne plany, opowiadano o okropnościach bitew, z taką znajomością rzeczy, że kobiety w trwodze wymykały z izby jedna za drugą — tymczasem Stanisław K. oświadczył stanowczo, że wojny w tych warunkach być nie powinno i nie będzie, a twierdzenie swoje oparł na wywodach Maćka Bzdury...

Wróż pogody i słoty.

W chacie Mateusza C. zgromadzili się gospodarze, jako do gminnego wróża. Mateusz poobdzierał listki z cebuli, a poukładawszy je na oknie, naznaczył każdy listek pierwszą literą miesiąca. Następnie nasypał do listków soli i czekał... Gdy w niektórych listkach sól wcześniej poczynała wilgnieć, wtedy wróż z powagą oznajmiał: »Źle! lipiec mokry — maj suchy!

Obecni smutnie pospuszczali głowy...

Na pasterkę!

Nagle wśród ciszy nocnej zahuczały dzwony. Potężny ich łomot o tak niezwykłym czasie, brzmiący radością i głośnem weselem, pobudził wioski, zaturkotały oddrzwia bram — wnet drogi zaroiły się ludźmi. Otuleni w ciepłe ubrania, świecąc latarkami, brną pątnicy po zaspach śnieżnych. Gdzie okiem sięgnąć, tylko białe, puszyste całuny śniegu pokrywają ziemię. Mróz tęgi skrzypi pod nogami, z dróg dolatują nawoływania błądzących, co krok stają w poprzek drogi przeszkody z fos i zdradliwe zaspy — lecz nie słabnie ochota spieszących drużyn, bo w oddali czekają błyszczące światłem okna kościoła i ta Msza św. pasterska, podczas której tak gorąco modlą się dusze polskie...

Choć raz w życiu, byś tam był, mój Ziomku!

Chmara ludu się zeszła, kościół nabity, że palca w ciżbę nie włożysz. Ciszę i nastrój pobożny przerywa tylko uporczywy kaszel i głuche westchnienia. W tem radosnem pieniem napełniły kościół organy. W ich tonach nieśmiało przelatują akordy kolędy. Ścichły — a z piersi kapłana, jak niegdyś aniołów na pastwiskach Betlejemu, odezwała się pobudka: Gloria in excelsis Deo! I cały kościół wprost ryknął kolędą: »Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi — wstańcie pasterze, Bóg się nam rodzi«.

Ktoż nie był na pasterce i tej kolędy, śpiewanej w kościele nie słyszał? Ileż siły, rozrzewnienia, zapału, uniesienia w piersi ludzkiej się mieści! Zdaje się wówczas, że śpiew mury kościelne rozsadzi i, bijąc pod niebo, chóry anielskie zagłuszy!

O chwilo rozkoszna! nadejdziesz niedługo — czekamy na ciebie z tęsknotą...

Ks. Paweł Wieczorek.



Na Boże Narodzenie.

Z gwiazdek krainy, z niebios błękitu,
Opromieniony ubóstwem — łzami,
Przybywa do nas pełen zachwytu
Bóg-Stwórca, aby zamieszkać z nami.

Szczęśliwa ziemio — szczęśliwi ludzie!
Czyliż my godni takiej ofiary?...
My, ciągle żyjąc w grzechowym brudzie,
Jakież dla Pana złożymy dary?

Ach! Pan Najlepszy żąda tak mało —
Nie pragnie od nas skarbów, pieniędzy;
On Król nad króle — wziął na się ciało,
By nas nauczyć znoszenia nędzy.

Bóg tylko pragnie serca czystego...
On tylko żąda zgody — miłości;
Chce, by się wyzuć z grzechu wszelkiego —
Aby zaniechać kłótni i złości!

Dziś Jezus mały, co w żłóbku kwili,
Swem przyjściem w niebios otwarł nam wrota...
Więc na kolana, o moi mili,
Przed Tym, co pragnie serca — nie złota!

Franciszek Marzec.



Ostatnia wigilijna gwiazdka.

Już uliczne gazowe latarnie oblewały białem światłem sąsiednie kamienice i gwar dzienny życia wielkomiejskiego począł cichnąć, a on dopiero opuszczał oddalone przedmieście Rzeszowa i raźnym krokiem mknął w dal. Minął już ostatnie domki podmiejskie i znalazł się nagle wśród pól, a wtedy otoczyła go nieprzebyta ciemność, zwiększona gęstą śnieżycą, zaprawioną mroźnym północnym wichrem.

Szedł szybko, więc mimo mrozu pot spływał mu na czoło z pod mundurowej czapki gimnazyalisty, a poły płaszcza rozwiewał wiatr jakby żałobne chorągwie. W skostniałej od zimna ręce niósł węzełek, zawierający brudną bieliznę, a także ubożuchne podarki na gwiazdkę dla młodszego rodzeństwa. — Śpieszył się, aby zdążyć jeszcze na czas na wigilię do rodzinnej wioski, oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów od Rzeszowa.

Żądny wiedzy, ukończywszy z bardzo dobrym postępem szkółkę ludową, został przyjęty do gimnazyum i od tego czasu był chlubą i swojej klasy i całego zakładu. Był synem ubogiego nauczyciela wiejskiego, a obecnie już jako uczeń siódmej klasy śpieszył na święta Bożego Narodzenia do wioski, gdzie ojciec miał posadę. Rodzice, sami mniej niż skromne mając utrzymanie, tylko bardzo lichą pomoc materyalną dawać mu mogli, więc wzorowy chłopiec, przebiegając codziennie oddalone zaułki Rzeszowa, udzielał lekcyi i w znacznej mierze sam się utrzymywał. W walkach młodzieńczego żywota przyświecała mu ustawicznie ta myśl przewodnia, ta gwiazdka Betlemska, iż kiedyś, ukończywszy studya, zostanie kapłanem, wieść będzie swoich bliźnich ku światłu i prawdzie i weźmie do siebie spracowanego ojca, będącego na pensyi i resztę rodziny. Ta myśl była mu bodźcem do bohaterskiego pokonywania trudności; o tem szczęściu myślał zawsze i wszędzie a także i w tej chwili, gdy w mroźny i ciemny grudniowy wieczór śpieszył na wigilię do ukochanej rodziny.

Z początku świeże siły młodzieńcze dozwalały mu iść forsownym krokiem, przebiegłszy jednak kilka kilometrów, walcząc z wichurą i brnąc po kolana w śniegu, osłabł, a oddech jego stał się szybki i świszczący. Zwolnił tedy kroku, zdjął czapkę z głowy i ocierał chusteczką zlane potem czoło. Idąc dalej, uczuwał coraz większe osłabienie we wszystkich członkach, z każdą chwilą zwalniał kroku, wreszcie zupełnie wyczerpany począł wlec się krok za krokiem i ustawicznie myślał o odpoczynku. Zgłodzony bardzo, zużywszy ostatki sił, dowlókł się wreszcie do miejsca, gdzie:

»Na drodze do lasu krzyż stoi drewniany,
»A na nim zrobiony, choć niewprawną ręką
»Pan Jezus Zbawiciel z odkupienia męką«.

— Odpocznę trochę, a potem tem żwawiej podążę! — rzekł do siebie i usunął się do stóp krzyża. Zgięte nogi okrył płaszczem, głowę wtulił w ramiona, a skostniałe ręce zasunął w rękawy. Wichura rozsrożyła się jeszcze bardziej, a gęsty śnieg począł białym całunem okrywać skuloną postać studenta.

Początkowo silne dreszcze wstrząsały jego członkami; wreszcie dreszcze ustały, a jakieś przyjemne lecz dziwne ciepło rozchodziło się po jego ciele i równocześnie niezwalczona senność poczęła go ogarniać. Wtedy to ułudna wyobraźnia twórcza zaczęła przed oczyma jego duszy roztaczać urocze i ponętne obrazy.

Oto zdawało mu się, że jest już kapłanem i właśnie w dzień Bożego Narodzenia w złocistym ornacie stoi przy ołtarzu Władcy Zastępów, odprawia Najświętszą bezkrwawą ofiarę i dźwięcznym głosem w kolędowej melodyi śpiewa: *Gloria in excelsis Deo!*

Potem znowu zdawało mu się, iż słyszy wspaniałe organowe dźwięki kolędy, a lud śpiewa potężnymi głosy: *Bóg się rodzi, moc truchleje.* — On zaś wtedy uczuwa, że nagle wyrastają mu skrzydła u ramion i wprost od ołtarza, wespół z aniołami na falach pieśni kolędowej, przez nieznane przestworza leci do szopki Betleemskiej, aby maleńkiemu Panu nad Pany złożyć hołd miłości i uwielbienia.

Pózniej znów zdaje mu się, że w bieluchnej komży stoi na ambonie i natchnionemi słowy przelewa radość i otuchę w serca wiernych, przedstawiając im niewysłowioną dobroć Ojca Wszechrzeczy, który najukochańszego Syna jedynego zesłał na tę dolinę łez, aby grzeszny ród ludzki uratował od wiecznego zatracenia. Wzruszony własnemi słowy czuje, że łzy płyną mu po twarzy... Wreszcie wspaniałe obrazy fantazyi znikają, a biedny student traci zupełnie przytomność i zapada w głęboki sen, który wkrótce przemienił się w sen wieczny.

Po paru godzinach śnieżyca ustała, rozjaśniło się, a pierwsza gwiazdka wigilijna ukazała się na nieboskłonie, i migocąc srebrzystym blaskiem, przyglądała się dziwnej zaspie pod krzyżem przydrożnym, na którym Chrystus, rozpostarłszy ramiona, zdawał się mówić: »Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę!«

Teofil Tryczyński.

Gwiazdka skazańca.

I.

Dzielnym oficerem był Artur Zawisza, walecznym, szlachetnym, gorąco miłującym ojczyznę, dla której zawsze był gotów poświęcić życie. Nadto odznaczał się niepospolitemi zdolnościami i wyższem wykształceniem. Po nieszczęśliwym upadku powstania listopadowego, w którem zaszczytny brał udział, udał się z wielu innymi na wygnanie do Francyi, spożywając gorzki chleb tułacza.

Tu trawiony tęsknotą do kraju, w przekonaniu, że byle tylko poruszyć cały naród, byle poruszyć przedewszystkiem najliczniejszą jego warstwę, lud wiejski, do powstania przeciwko ciemięzcy, a skutek pomyślny uwieńczy przedsięwzięcie i Polska wolność odzyska.

Tą myślą powodowany z wielu innymi swymi towarzyszami broni z dawnej armii polskiej przedostał się cichaczem do Królestwa kongresowego w r. 1833 a zebrawszy w koło siebie garstkę walecznych rozpoczął walkę.

Niestety i tu miał go spotkać zawód bolesny. Wkrótce pojmany na placu boju, odstawiony do cytadeli warszawskiej, długo badany i dręczony, wyrokiem sądu wojennego skazany został ostatecznie na karę śmierci przez powieszenie.

II.

Wieczór rozpostarł się nad Warszawą. Tu i owdzie na niebie zachmurzonem, grudniowem, migocą gwiazdki. W oknach mieszkań widać światło, widać uśmiechnięte, uradowane twarzyczki dzieci oczekujących niecierpliwie, co im gwiazdka przyniesie. Widać i dorosłych zgromadzonych w koło stołów nakrytych, aby się z najbliższymi podzielić opłatkiem.

Boć to dzisiaj wieczór uroczysty, święto dziatek przedewszystkiem, bo to wigilia Bożego Narodzenia!

Tam gdzieś na krańcach miasta, na stoku groźnej Mikołajowskiej cytadeli przytulona do muru więziennego, otulona płaszczem od zimna, czarno ubrana, jakaś kobieta nie młoda, z siwiejącym włosem siedzi, pogląda trwożnie w zakratowane małe okienka więzienia, modli się i płacze.

Wtem ktoś się zbliża.

— Kto tu... i po co — zapyta kobiety oficer rosyjski, robiący wieczorem przegląd warty więziennej?

— To ja, mój dobry panie, ja matka Artura Zawiszy, skazanego na śmierć na szubienicy. Przyszłam tu, aby jeśli można widzieć się jeszcze choć po raz ostatni z mym synem, aby pobłogosławić go na drogę wieczności i podzielić się z nim dzisiaj podług naszego zwyczaju opłatkiem.

— Ależ Pani, to być nie może, syn Wasz w zamkniętem szczelnie więzieniu, więzienia strzegą straże, a wpuszczać nikogo nie wolno!

— Panie mój! Ulituj się nademną! — Ulituj się nad biednem zbolałem sercem matki — wszak i ty masz może jeszcze matkę, która gdzieś zdala tęskni i modli się za tobą! — Pozwól mi choć na chwilę wstąpić za te mury, pozwól objąć dłońmi macierzyńskiemi szyję mego dziecka, którą za dni kilka obejmie śmiertelnym uściskiem stryczek kata.

Widocznie szlachetne i czułe serce biło w piersi żołnierza, bo łzą mu zaszły oczy, skinął na zbolałą niewiastę, aby zaczekała chwilę a sam wstąpił w bramy więzienia.

Po chwili wyszedł z nich znów oficer w szynelu ze szpadą u boku, a zbliżywszy się do oczekującej niewiasty nagle rzucił się przed nią na kolana i zaczął całować ręce i stopy.



...nagle rzucił się przed nią na kolana.

— Matko najdroższa, matko jedyna, to ja, twój syn Artur, przychodzę się pożegnać z tobą! Przychodzę podzielić się opłatkiem z tobą, któryś mi przyniosła dzisiaj — dzisiaj w dniu wigilii, przychodzę odebrać ostatni uścisk twej dłoni, ostatnie błogosławieństwo na drogę, z której się nie wraca!

— Synu mój! Arturze kochany, co się tu dzieje — w jaki sposób odzyskałeś wolność?

— Szlachetny Rosyanin, którego ubiór na mnie widzisz, pozostał tam w więzieniu przybrany w strój aresztancki, a mnie udzielił swego szynelu, abym zmylił straże, abym się z tobą mógł zobaczyć!

— Synu mój jedyny, synu mój najdroższy dzięki niech będą Najwyższemu choć za tę chwilę jedną, dzięki stokrotne, lecz... czybyś nie mógł mój synu.. wszak jesteś wolny teraz... ja cię ukryję, ja ci dopomogę do przedostania się za granicę... gdzie cię nie dosięgnie władza carska!

— Nie, matko najdroższa, wiem, że za dni kilka czeka mnie śmierć niechybna, ale myśl taka odepchnijmy od siebie, bo ona niegodna twego syna, niegodna Polaka!

— Zamiast mnie, śmiercią przypłaciłby swój czyn szlachetny ów oficer, któremu zawdzięczamy nasze widzenie — tę chwilę ostatnią pożegnania.

— Dlatego bywaj zdrowa matko moja jedyna, czas teraz powracać za kratę, czas uwolnić szlachetnego Rosyanina. Zaniosę mu opłatek ten, podzielę się z nim.

I pożegnali się długim uściskiem — milcząco — pożegnali się na zawsze!

Któż zdolny odmalować cierpienie, jakie w tej chwili szarpało serce matki i syna! Pióro wypada tu z dłoni, słowa zamierają na ustach!

Och ileż to matek Polek żegnało się podobnie ze swymi synami, idącymi na plac stracenia, lub w lody Sybiru! Ileż było takich choćby w przeciągu ubiegłego stulecia!?

A tam w mieście choinki strojne tymczasem pogasły, wrota świątyń Pańskich rozwarły się na oścież dla ludu pobożnego spieszącego na pasterkę. — Dzwony uroczystym głosem wśród mroków nocy odezwały się nad Warszawą, śpiewając pieśń anielską:

»Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!«

III.

Kilka dni później na placu w cytadeli zawisło na stryczku ciało szlachetnego syna Polski, Artura Zawiszy.

Czyn szlachetny Rosyanina nie ukrył się w tajemnicy. Dowiedział się przez swych szpiegów o nim ówczesny satrapa Paszkiewicz. Gdy stanął przed obliczem jego ów porucznik Sergiusz Swieczyn — tak się bowiem nazywał — wezwany na audyencyę, ryknął Paszkiewicz jak tygrys zraniony, a oczy krwią mu zaszły od gniewu.

— Jak śmiałeś... jak śmiałeś!...

— Ja tu, ja pasy drzeć każę!

Więcej mówić nie mógł, gniew mowę mu odjął.

Lecz o potęgo szlachetnego czynu! Ty rozbrajasz nawet dusze poziome i spodlone niewolą!

Sądzono powszechnie, że Swieczyn swój postępek więzieniem srogiem przypłaci, degradacyą — Sybirem.

Stało się inaczej — ukarany został kilkotygodniowym aresztem, po którym nie zadługo nawet awans podobno nastąpił. *E. S.*



Wróżby świąteczne.

Wróżby w wieczór wigilijny »poważne mają znaczenie«. U nas lud nasłuchuje, czy z obory nie dojdzie jaki odgłos, bo według wierzeń ludowych niektóre bydło w noc wigilijną, w tę noc pełną tajemnic, przemawia do siebie głosem ludzkim; kto rozmowę taką podsłucha, temu nic na świecie nie będzie obce, a wszystkie skarby staną przed nim otworem.

Na Małej Rusi dziewczęta w wieczór wigilijny starają się wybadać swą przyszłość. Wybiegłszy nocą na dwór, dziewczyna nasłuchuje, z której strony głos się jaki odezwie, bo stamtąd też przyszły jej mąż nadciągnie.

Dawniej w dworkach szlacheckich panny i młodzież wyciągali z pod obrusa źdźbła siana: jeżeli zielone było — zapowiedź to wesela, zwiędłe zaś starokawalerstwo lub staropanieństwo zwiastowało.

Wogóle przeciąg czasu między dniem pierwszym Bożego Narodzenia a świętem Trzech Króli, jest czasem, w którym młode wieśniaczki rozmaitymi sposobami pragną dociec, jak i kiedy zamąż pójść mają. Z pakuł lnianych robią dwie figury, z których jedna wyobraża dziewczynę, a druga młodzieńca. Te w jednej chwili zapalają. Jeżeli płomienie skłaniają się ku sobie, jest to pewnym znakiem, że za tego pójdzie, którego sobie wyobraziła, jeżeli przeciwnie, okazuje to, że nigdy jego żoną nie będzie. — Rzucają pierścionki w naczynie wodą napełnione, poczem śpiewają nad niemi piosnki, po każdej odśpiewanej strofie, wyciągają jeden — strofa poprzedzająca staje się przepowiednią dla tej, czyj pierścionek wyjęto. — Wieśniaczki, odliczywszy pewną ilość ziarn jakiegokolwiek zboża, a szczególniej pszenicy, sypią je — robiąc doświadczenie w tym celu — na podłogę, w jedną kupkę. Kupki te formują koło, w środku którego sadzają koguta, lub innego, niekarmionego całą dobę ptaka, z zawiązanemi oczyma. Po zdjęciu zasłony ptak ze skwapliwością zaczyna jeść ziarna; gdy się nasyci, liczą pozostałe i stąd czynią wróżbę.

Gawędy Wawrzka Obywały Z Markiem Zakałą.

Obywała: — Hej, mój kumie drogi, nie wiem, co droższego winno dla Polaka być — jak święta wiara. — Każdy, kto jej niema, jest wprost do niczego i takiego życie jest — jak senna mara... A po świętej wierze — to ojczysta mowa — skarbem dla każdego nieoszacowanym: O, jak melodyjnie brzmią jej piękne słowa!... Jak miło, gdy człowiek jest w niej przywitanym...

Zakała: — Oj, prawdę mówicie, mój sąsiedzie drogi. — I winniśmy Bogu podziękować za to; bo w swej wierze mamy zawsze pokój błogi — pracujem weseli, czy zima, czy lato... A co się odnosi do ojczystej mowy — muszę z bólem serca powiedzieć Wam, kumie, że dużo ją ludzi traktuje za plewy; kalecząc ją, jakby błądzili w rozumie.

Obywała: — Tak, tak! Dajmy na to »amerykan«, taki, co parę miesięcy zamorzem przebywał — nagle, kiedy spłynie w swe ojczyste szlaki — wygląda, jakby się na każdego gniewał! Nos »zadrze« do góry, kołnierzyk postawi... miedziakami brzęczy w obszernej kieszeni... Wdać się z nim w rozmowę, to Wam »cuda« prawi, a mowę przekręci i do znaku zmieni. »Ol rajd siur« i »siarap« to jego mądrości... Głupiec — nawet nie wie, co te słowa znaczą. Nie jeden mu nawet tej mowy zazdrości; myśląc sobie w duszy: »ja przy nim ladaco«.

Zakała: — Najbardziej się chełpi taki półuczony, co to chwyci słowo z tej i z owej strony i później przeplata tem ojczystą mowę, myśląc, że jej przez to nada dźwięki nowe. Nie przeczę, dobrze jest znać cudze języki, cudze obyczaje, tańce i muzyki, ale swoje trzeba kochać całą duszą — i hańba tym, którzy swoje perły kruszą...

Obywała: — Albo taki »saksiak«, gdy wróci do sioła — uczciwego słowa nie wypowie zgoła, »Ja», »gut«, »brot«, »milch«, »laiche« w głowie mu młynkuje... butów juz nie czyści — lecz jakoś »pucuje«. Ach, czemuż to Niemcy tak strzegą swej mowy: u nich polski wyraz budzi wstręt niezdrowy. Oni całą duszą dziś nas nienawidzą i polskich wyrobów kupować się wstydzą, ale baczą pilnie na swą szwabską markę. A u nas — w tym względzie czyni się frymarkę.

Zakała: — Oj, to święta prawda, zamiast bojkotować, my pruskie wyroby śpieszymy kupować; bojkot na papierze — co inne w praktyce — musimy się zmienić w powyższej taktyce. Teraz idą Święta — ach, mój miły Boże! Jaka moc pieniędzy w Prusy pójdzie może za różne błyskotki, głupie świecidełka — to wszystko przeważnie pruskie wymysełka.

Obywała: — Wiecie, kumie drogi, że nasze kobiety, które posiadają dość liczne zalety — mogłyby najlepiej bojkot zastosować: Na Święta, pruskiego — zgoła nie kupować! A żydów omijać! — to pruskie pachołki, co pod nami zawsze zwykli kopać dołki... »Swój do swego« — oto dziś hasło Polaka, a żyd zawsze taki, jak i Szwab — pokraka!...

Bartek z pod lasu.

Antoni St. Bassara.

KRZYŻ.

(Obrazek z życia wiejskiego).

Franek wyszedł od Pietrychy bardzo rozgniewany. Swoim trzeźwym rozumem poznał, że wróżycha ani mocy żadnej nie posiada, ani sposobów nie zna, któremiby mogła człowiekowi w niedoli pomódz.

— Oszustka zwykła — myślał — która z głupoty ludzkiej żyje.

Straciwszy wiarę w wróżkę, począł jeszcze bardziej tracić wiarę w miłowanie Jagusine.

— Myślała, że nie strzymam i dworowała sobie ze mnie — szeptał. — Ale czy strzymam, czy nie strzymam, toć ona i tak moją być musi!...

— Lub niczyją — dodał po chwili z złym błyskiem w oczach.

Szedł wolno ku swej chacie, a myśli różne przewalały się mu w głowie, jak te ciemne chmury po niebios sklepieniu.

— Zatracone życie — powiadał. — Tego ci nie wolno, tamtego ci nie wolno. Chodź ciągle, jak to cielę na powrózku, a woli nie miej własnej.

Zamyślił się głęboko i zaciął zęby, aż w szczękach trzasnęły. Złość brała go coraz większa na myśl, że zawołaniu jednej słabej dziewczyny ma być powolny. Czyżby do tego już przyszło, że on, który hardo stawiał się całej gromadzie parobków, że on, przed którym drżeli najodważniejsi, miałby uląc się wzroku niebieskich ocząt Jagusi.

— Boś głupi — szepnął mu zły duch. — Nie chce, jak inne, w kościele i z błogosławieństwem — bierz ją więc wbrew jej woli.

Wzdrygnął się na myśl samą.

— A choćby i tak uczynił, to może być, iż dla wstydu i konieczności wyszłaby za niego. Ale co potem, jakie życie później? To udręka i poniewierka jeno!



...rąbnął weń siekierą z całej siły.

Ani spostrzegł, kiedy stanął przed ojcowską chatą. Wszedł do niej ponury, jak śmierć sama. Na zapytania starych rodzicieli, gdzie tak długo bawił, słowa nie odrzekł. Gdy mu matka podsunęła jadło pod gębę, nie tknął go wcale. Jak kłoda zwalił się na łóżko, taka żałość i złość go przygniatały.

Ale i sen nie był mu wypoczynkiem, ale męczarnią, a jeszcze większą, aniżeli jawa sama, gdyż połowiczna tylko świadomość w częstych chwilach przebudzenia powiększała jego urojone nieszczęście. Przewracał się z boku na bok i mruczał coś sam do siebie, przyczem matka zrywała się ze swego łoża, przybiegała doń i wypytywała trwożnie, czy nie chory.

Dopiero ranek przyniósł mu ulgę niejaką. Podniósł się z łóżka zjadł trochę podanej strawy i wybrał się do lasu przygotować nieco paliwa.

Szedł żwawo w stronę lasu, a na wolnem i świeżem powietrzu lżej mu było trochę na sercu. Na myśl przychodziły przypomnienia dnia wczorajszego, ale nie wydawały się mu tak bezgranicznie czarne, jak wczoraj.

— Skądże bowiem pewność — myślał — że Jagusia dworowała sobie tylko ze mnie. Wszak mogła powiedzieć, że mnie nie chce, a znaleźć mogła tysiączne powody swej odmowy. Nie! Jagusia za stateczna do igrania z sercem uczciwego...

— Pijaka — dodało sumienie.

— A choćby i pijaka! — zawołał głośno Franek. — A czy mi to pić nie wolno? A czy ja to za kradzione piję, a nie za swoje?

Rzekłszy to, rzucił okiem naokoło. Zdawało się mu, że całe otoczenie przyklaśnie jego powiedzeniu, że cała przyroda pochyli się przed nim kornie. A tym czasem drzewa ogołocone z liści stały jak przedtem zupełnie spokojnie, jako że cisza była wielka, a nawet pies, chodzący po drodze, nie zwracał na niego uwagi.

Rozgniewała go ta obojętność jeszcze bardziej. Ujął więc kamień z drogi i rzucił w stronę chodzącego psa. Zwróciło zwierzę głowę w stronę napastnika, ale snać przypomniało sobie owo złote twierdzenie, iż mądrzejszy głupszemu ustępuje i... schowało się za płot przydrożny.

— Bodajeś pękł — zawołał Franek i począł iść dalej w stronę lasu.

Droga, na jego nieszczęście, prowadziła obok karczmy, w drzwiach której stał już wiecznie uśmiechnięty arendarz. Przebiegły żyd nie odzywał się jednak pierwszy, gdyż przeczuwał, że Franek go nie minie. Jakoż zrównawszy się z żydem, zmierzył go od stóp do głowy i zadowolony, że na kimś złość swoją wywrzeć zdoła, zawołał:

— I czegóż patrzysz, parchu? Żal ci, żeś jeszcze duszy mojej do cna nie posiadł?!

— Co się Franek gniwa? — odparł grzecznie żyd. — Kiedy ja Franka nie zaczepiam, to niech sobie Franek idzie, gdzie się wybrał.

Karczmarz, mówiąc to, tak kierował głową, że ta raz zwracała się w stronę chaty Jagusi, a raz ku obejściu Wojtka.

— Słuchaj, żydzie! — zawołał z wybuchem Franek. — Nie igraj ty ze mną, bo ja wiem, co chcesz powiedzieć. Usta twoje cedzą słodzone słowa, ale ślipie twoje piesieckie za gębę mówią. Powiadaj ty mi, co mam robić, powiadaj, bo żółć mnie zaleje i koniec mi przyjść może.

Rzekłszy to Franek, bez zapraszania wstąpił w progi żydowskie. Rzucił siekierę na ziemię, siadł ciężko na ławie i milczał chwilę. A kiedy żyd też się nie odzywał, uderzył pięścią w stół i zawołał:

— Dawaj, żydzie, wódki a mocnej! Niech się boleść moja spali we mnie, niech myśleć przestanę, bo łeb pęknie mi w czerepy!

Żyd spełnił skwapliwie rozkaz Franka. Gdy flaszka znalazła się na stole, ujął ją oburącz, przytknął do ust i trzymał, póki jej zupełnie nie wypróżnił. Poczem odetchnął ciężko i rzekł:

— Wróżycha nie pomogła, myślenie nie pomogło — człek sam sobie pomódz musi wolą własną a siłą własną...

Zwiesił głowę i począł dumać. Żyd stał i wpatrywał się w niego, ale już bez uśmiechu, lecz z jakąś tajoną obawą. Nagle wyprostował się Franek i zawołał:

— Żydzie, daj wódki!

Żyd jednak nie śpieszył się, lecz owszem począł zwolna i uprzejmie perswadować:

— Niech Franek da spokój! Takie nagłe picie może Frankowi zaszkodzić. Poco sobie i komu robić kłopot.

— Widzicie go! jaki mi kaznodzieja! — zadrwił teraz Franek. — Możebyś się tak z księdzem zamienił i nawracał od pijaństwa. Baranek, owieczka... psie ścierwo niechrzczone!

A kiedy żyd nie ruszał się z miejsca, przyskoczył do niego, a uchwyciwszy za kołnierz, pchnął ku szynkwasowi.

— Jedną tylko, ostatnią — wyrzekł jakby na uspokojenie.

Podany napój wypił jednym tchem, a nie rzekłszy ni słowa, zapłacił, zabrał siekierę i wyszedł z karczmy.

Począł iść wprost do lasu. Wypita wódka poczęła coraz bardziej go rozbierać i napędzać najróżnorodniejsze myśli do głowy. Zmagał się z niemi, starał się je precz odpędzić, ale nie ustępowały. Lęk go brał na myśl, co powie Jagusia, jak postąpi, gdy się dowie o dokonanem złamaniu słowa. Począł się kajać i w duchu ją przepraszać.

— Chciałem zalać robaka, który mnie gryzł — szeptał — i nie strzymałem. Ale to ostatni raz, ostatni!...

Z takiem uczuciem i postanowieniem dochodził do lasu.

Na skraju lasu stał krzyż, na którym wisiało rozpięte ciało Zbawiciela świata. Podszedł ku niemu i począł się wpatrywać w twarz Chrystusa. Ale ta wydała się mu srogą i zagniewaną. Im dłużej patrzył, tem większy go wstyd i upokorzenie ogarniały. Już miał gruchnąć na kolana i kajać się a zmiłowania prosić, gdy jakiś zły głos szepnął mu:

— I czegóż patrzysz! Kawał drzewa nieudolnie ociosany i nic więcej...

Podniósł w górę głowę, gdy znów głos inny rzekł mu:

— Kawał drzewa, a przecież taką moc posiada, że całe piekło pokonać jej nie może...

— O Jezu! — jęknął Franek i uciekł w głąb lasu.

Tu zrzucił płótniankę i czapkę, a jął się żywo do roboty, aby corychlej zagłuszyć w sobie dziwną rozmowę dwóch sprzecznych potęg: dobrego i złego.

Nie zdołał jednak, gdyż tajemnicze szepty w duszy jego ponawiały swą dysputę. Raz ta strona, raz druga brała górę, ale w miarę upływających chwil głos zły poczynał przeważać, zwłaszcza, że rozsądek przyćmiony wódką nie stawiał zbyt silnej zapory.

Głos dobry przywodził ciągle na pamięć krzyż stojący na skraju lasu. Nie mógł wreszcie dłużej znosić Franek tego przykrego wspomnienia. Za podszeptem złego głosu, uchwycił siekierę i tak, jak stał, bez zwierzchniego okrycia, począł biedz w stronę krzyża. Mimo jednak przyćmionego umysłu wódką tak kierował kroki, aby przyjść z tyłu krzyża, aby uniknąć gniewnego wzroku Chrystusa. Dobiegłszy do krzyża, rąbnął weń siekierą z całej siły. Lecz w tej chwili przyszło chwilowe opamiętanie. Począł drżeć jak liść osiki, a runąwszy na ziemię, jęczał z głębi duszy:

— O Jezu mój odpuść, Jezu nie karz!

Prosił tak, wił się na ziemi i łamał cały przed Tym, na którego majestat porwał się swą grzeszną ręką. Ale uspokojenie nie przychodziło, gdyż zbrodnia była ogromną. Zerwał się więc z ziemi i począł biedz ku chacie.

Biegł kilka stajań. Wreszcie jednak nogi odmówiły mu posłuszeństwa, gdyż wypita wódka objęła całe ciało i napełniła je niemocą. Gdy znalazł się już w pobliżu wsi, szedł, jak idą pijacy: od rowu do rowu. Wrażenia przebyte pobudzały krew do szybszego krążenia, a ta roznosiła po ciele wypitą wódkę i doprowadzała oszołomienie do mózgu coraz bardziej. Czyn świętokradczy, dokonany na krzyżu, palił jego napół świadomy umysł bezbrzeżną rozpaczą. W złości i zapamiętaniu gryzłby był kamienie, targał głazy, rwał ludzi w kawały. Wstyd i rozpacz przyprawiały go o szaleństwo.

W takim stanie szedł bez myśli, gdzie idzie. Mijał pola i domy, nie napotkawszy nikogo po drodze.

Bezwiednie znalazł się w pobliżu Jagusinej chaty, w chwili, gdy ta właśnie wracała z konwiami wody od studni. Dziewczyna, zobaczywszy Franka w takim stanie, wypuściła konwie z rąk i zawołała z rozpaczą:

— Franku! dla Boga, coś ty zrobił?!

— Cichoj, Jaguś, ja nic, ja tylko,.. — począł bełkotać pijany Franek i chciał ująć dziewczynę za rękę.

Ta, otrząsłszy się z chwilowego zdziwienia, odtrąciła jego rękę, mówiąc:

— Idź precz, pijaku! Niech cię więcej oczy moje nie widzą!

— Co? — zasyczał Franek. — Nie chcesz mnie, Wojtek ci milszy? Nie będziesz moją, nie będziesz i jego.

Rzekłszy to, podniósł siekierę w górę i uderzył obuchem w głowę Jagusi.

Szczęściem wódka odebrała mu część mocy, gdyż byłby zgruchotał głowę dziewczyny, mimo to Jagusia z krzykiem:

— Jezus, Marya! — padła krwią zalana na ziemię.

(Dokończenie nastąpi).

PROŚBA.

Boże! Wszystko co widzę, wszystko dzieło Twoje
I patrząc na to nabieram już sił,
Na przyszłe prace i trudy i znoje,
Wśród których człowiek zawsze będzie żył.

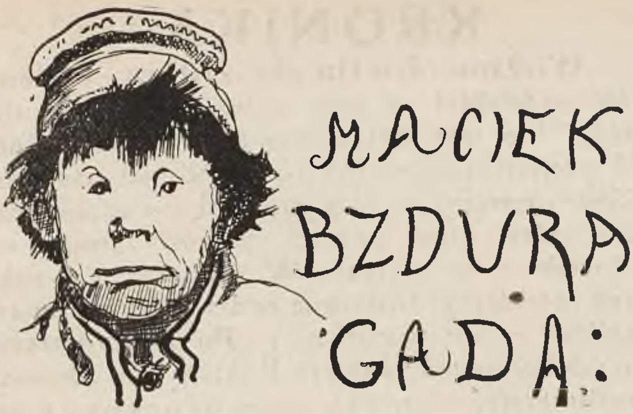
Ty przyoblekasz naturę barwami,
Ty rzucasz zgodę i miłość Swą w świat,
Ty całą ziemię zasypujesz skrami
Twej łaski jako życiodajny kwiat.

Ty człowiekowi dodałeś Anioła,
By go na każdym kroku życia strzegł;
Ten go od drogi zgubnej też odwoła,
By się przed Panem swym ukorzyć biegł.

Ciebie w piosence wielbi i ptaszyna
I w mnogich hymnach uwielbia Cię lud...
Może i ciężką była nasza wina,
Lecz po pokucie uczyń nam ten cud,

By dla ojczyzny znękanej niewolą
Po długim czasie ukazał się świt,
Gdy się rodacy braterstwem zespolą,
Obyś Ty wtedy zapewnił jej byt!

Stanisław Wroński.



Wicie, cemu ludzie narobili tyle strachu z wojną? Nie wicie? No, to nie znacie ludzi. A ja wam padam, że temu wszyćkiemu winna ino jedna stara baba. Ta stara baba, jak ni miała co robić, to posła do drugi stary baby i pedziała, że u Onufra powiadał Jacek Ogonek, ze u Franka Ciapały gadał Wawrzek Suchy, ze słysał od Ignaca Lelutka, ze Jaśkowi Drzymocie padał Sobek Kusy, ze u Walka Migały powiadała Jagata Chudziacka, jakoby tam ktoś, gdziesi, kadysi gadał, ze słysał kanysi od kogosi, ze jak trza będzie, to kiedysi i o cosi pobije się ktosik z kiemsik. Tak padała jedna stara baba drugi starej babie, a ktosik to usłysał i powtórzył komusik i tak się cała ta hryja zrobiła.

A gazyciarze, usłyszawsy to, wybałuscyli ślipia i padają:

— Jakoze? Toć my wszyćko wimy, co było i nie było, co jest i cego nima, co będzie i cego nie będzie, a o wojnie nic nie wiemy? Trza nam koniecnie wiedzieć, kiedy o tem wszyscy gadają i jesce więcy wiedzieć jak insi gadają.

Tak pedzieli gazyciarze i dalejze do roboty! Zastrugali pióra, umacali w atramencie i pocęli pisać. A ze gazyciarze zawse udają, jakoby oni byli mądrzejsi od kazdego innego stworzenia, bez to pocęli więcy pisać, jak było i nie było, a w świecie robił się strach, jaze strach.

Tego ludzkiego gadania i tego gazyciarskiego pisania przeląkł się nawet Moskal i pyta się mnie ze strachem:

— Maciuś, będzie wojna?

— Nie! — ja mu na to.

— A la cego nie będzie, kiej o niej wszyscy pletą? — pyta dalej.

— No, bo nie! — wtedy ja mu wytłómacyłem zrozumiale i Moskal odsed kontentny, ze nie dostanie w starą panią.

Z takiego mojego zarządzenia ucieszyli się i Miemcy i Frajcuzy i Austryjaki i Serby i inse narody, ze się bić nie będą, tembardzi, ze ni mają o co.

Kiedym tak cały świat uspokoił właśnie przed samemi godniemi świętami, musę się sam zabrać do mobilizacyi. Idzie święty pośnik, jedyna rozkos la grzysnego człowieka, przeto trza gosposi zmobilizować: grzyby, ryby, śliwki, kase rozmaite i inne przyjemności do jedzenia, aby w ten urocysty dzień brzusysko nie skrzecało tramlapolek, ale odzywiło się galanto i po pańsku.

A i wy, moi kochani, którzy mi tyle grzeczności bez cały rok świadcycie, nie próżnujcie w tej waznej chwili, ale mobilizujcie korony i ślijcie do »Roli«, aby my se mogli tak dali gadać, jak my dotąd gadali, cego Wam i sobie z całej dusy winsuje, bo Nowy Rok za pasem.

Z TYGODNIA.

Pomoc rządu dla Galicyi z powodu klęski rolniczej. W komisyi budżetowej parlamentu zabrał głos minister rolnictwa Zenker, który przedstawił zarządzenia dla popierania chowu bydła oraz zapewnienia dostawy mięsa przez swojską produkcyę. W sprawie klęski w Galicyi, oświadcza minister, że po przeprowadzeniu dochodzeń przez namiestnika ministerstwo rolnictwa natychmiast porozumie się z ministerstwem skarbu, a następnie wyasygnuje potrzebne kwoty na dostarczenie paszy ludności w okolicach, dotkniętych nieurodzajem. Oprócz tego ministerstwo zgodziło się na wniosek namiestnika na przyznanie odpadków soli, a ministerstwo skarbu zezwoliło już na wydanie 50.000 cetn. metr. tejże soli. Poza tem ministerstwo kolei przyznało ulgi taryfowe dla przewozu paszy i pościółki w Galicyi.

Nowa pożyczka w złocie. Austryacki minister skarbu Zaleski nadał związkowi banków pod kierownictwem pocztowej kasy oszczędności pożyczkę w 4 i pół proc. bonach skarbowych z terminem półtora, względnie 2-letnim w sumie 25 milionów dolarów, t. j. 125 milionów koron. Minister skarbu węgierski Teleksy nadał innemu związkowi bankowemu pożyczkę w kwocie 125 milionów koron na takich samych warunkach, co pożyczka austryacka. Łącznie pożyczają więc oba państwa 250 milionów koron. Pożyczka będzie wypłacona w złocie, co dowodzi zaufania zagranicy do stosunków gospodarczych monarchii. Przypływ złota przyczyni się niewątpliwie do usunięcia zaniepokojenia na targu pieniężnym, z tego też punktu widzenia jest objawem pomyślnym.

Zatarg austro-serbski w chwili, gdy to piszemy, nie posunął się ani w pomyślnym ani niepomyślnym kierunku. Rosya podobno radzi Serbii umiarkowanie; podobno też oświadczyła jej, że jej zbrojnie popierać nie będzie. Serbia w dalszym ciągu pobrzękuje szablą, dzienniki jej napadają na Austryę, chociaż nie brak także i umiarkowanych głosów w Serbii. Poza tem mnóstwo sprzecznych wiadomości przynoszą co dnia gazety, z czego trudno wyrozumieć istotny stan rzeczy. Obecnie zwróconą jest uwaga powszechna na Londyn; co konferencya pokojowa uchwali i jak mocarstwa przez swych zastępców wobec tego się zachowają. W ostatniej chwili nadeszły bardzo uspokajające wiadomości.

Ustawy na wypadek mobilizacyi i wojny. Parlament austryacki i sejm węgierski otrzymały od rządów projekty ustaw o wsparciach dla rodzin zmobilizowanych i o świadczeniach wojennych. Sejm węgierski ustawy te uchwalił, austryacki parlament uchwalił ustawę o wsparciach dla rodzin zmobilizowanych. Ustawa jest bardzo doniosła, gdyż reguluje stosunki w dziedzinie, w której dotychczas zgoła żadnych przepisów ustawowych nie było. Zacznie obowiązywać już w najbliższych dniach — czeka ją jeszcze załatwienie w Izbie panów i ogłoszenie w dzienniku praw państwa. Nowa ustawa ani nie uchyla ani w niczem nie zmienia uchwalonej przed kilku laty i dotychczas obowiązującej ustawy o wsparciach dla rodzin rezerwistów, powołanych do regularnych, peryodycznych, w ustawie wojskowej przewidzianych ćwiczeń. W chwili, gdy to piszemy, nie uchwalono jeszcze ustawy o świadczeniach wojennych z powodu obstrukcyi skrajnej grupy posłów czeskich, t. zw. radykałów.

Umizgi Rosyi do Rumunii. W Bukareszcie, stolicy Rumunii, bawił rosyjski W. książę Mikołaj Michajłowicz. Celem wizyty było wręczenie rosyjskiej laski marszałkowskiej, przesłanej przez cara

królowi Karolowi rumuńskiemu. Istotnie jednak chodzi tu o starania zbliżenia Rumunii do Rosyi. Rumunia jednak od dawna jest w ścisłem porozumieniu i przyjaźni z monarchią austryacko-węgierską, starania więc Rosyi o przeciągnięcie na swoją stronę Rumunii są, zdaje się, spóźnione.

Konferencya pokojowa w Londynie. Nie 13 b. m., lecz 16 b. m. rozpoczęła się konferencya o pokój między państwami bałkańskiemi a Turcyą. Biorą w niej udział przedstawiciele Bułgaryi, Serbii, Grecyi, Czarnogóry i Turcyi. Grecy, chociaż nie zgodzili się na zawieszenie broni i walczą dalej z Turcyą, biorą udział w rokowaniach pokojowych. Przypuszczają, iż rokowania nie pójdą łatwo, bo zwycięskie państwa żądają od Turcyi nietylko krajów zdobytych orężem, lecz i miast niezdobytych. N. p. Bułgarzy żądają miasta Adryanopol, choć go nie zdobyli, a Czarnogórcy zaś miasta Skutari, którego nietylko nie zdobyli, lecz nawet wobec klęsk, jakie im świeżo zadali Turcy i braku żywności, może będą musieli zaniechać oblężenia. Nie można więc jeszcze liczyć na pewne, że rokowania zakończą się podpisaniem pokoju. Mogą trwać bardzo długo lub też po krótszem trwaniu zostać przerwane i wojna na Bałkanie może wybuchnąć na nowo, tem bardziej, że Turcy się wzmocnili i nie są teraz bardzo ustępliwi. Trudności porozumienia się, komu i ile ze zdobytych krajów ma przypaść, są tem większe, że i między państwami bałkańskiemi panuje niezgoda. Serbia i Grecya, które swe zwycięstwa zawdzięczają głównie temu, iż Turcya najlepsze i najliczniejsze wojska wystawiła przeciw Bułgaryi, chciały zbyt wiele kraju zagarnąć, a Bułgarya znów, która w wojnie największe położyła zasługi, odniosła najkrwawsze zwycięstwa i wogóle główny ciężar wojny na jej barkach spoczywał, nie może zezwolić na nadmierne wzmożenie się Serbii. — Trudno przewidzieć, jakie jeszcze trudności i przeciwieństwa wyłonią się na konferencyi pokojowej.

Zebranie ambasadorów sześciu wielkich mocarstw, odbywające się równocześnie w Londynie, przyczyni się niewątpliwie do wyjaśnienia położenia międzynarodowego, wpływając równocześnie na targi między Turcyą a państwami bałkańskiemi, gdyż przedstawiciele mocarstw mogą w ich imieniu nie dopuścić do takich warunków podziału krajów zdobytych, na któreby mocarsttwa się nie godziły.

Ks. Luitpold bawarski. W Monachium zmarł dnia 12 b. m. sędziwy regent bawarski, Luitpold, w 92 roku życia. Ze zgonem księcia Luitpolda zeszedł do grobu jeden z najbardziej szanowanych władców. Rzadkie istotnie zalety serca, charakteru i umysłu uczyniły go jedną z wybitnych postaci w pośród panujących europejskich.

Książę Luitpold, trzeci syn króla Ludwika I, objął regencyę królestwa Bawaryi dnia 10 czerwca 1886 r., jako zastępca chorego na umyśle króla Ludwika II. W trzy dni po ogłoszeniu regencyi nastąpiła śmierć Ludwika II w wodach jeziora, Luitpold zatrzymał regencyę, gdyż młodszy brat Ludwika II, król Otto, już wtedy nawiedzony był również niemocą umysłową, trwającą do dnia dzisiejszego. Bawarya znajdowała się podówczas w stanie przesilenia gospodarczego. W ciągu 26-letniego okresu rządów, ks. Luitpold potrafił uporządkować finanse kraju i pod każdym względem kraj podnieść. Gdy ks. Luitpold rozpoczynał rządy, liczył już 65 lat życia, a jednak wziął się jako panujący do spełnienia swych zadań z energią i do końca życia ją zachował. Następca Luitpolda, ks. Ludwik bawarski, urodzony 1845 r., liczy obecnie 67 lat życia.

KRONIKA.

Ważna chwila się zbliża — Nowy Rok nadchodzi, a więc największy czas, aby każdy, kto tego dotychczas nie uczynił, odnowił prenumeratę na rok 1913. Numer następny będzie ostatnim w bieżącym roku a rozeszlemy go o jeden dzień później, to jest zamiast we czwartek — w piątek. W numerze 1 z roku 1913 zaczniemy drukować nadzwyczaj zajmującą powieść z obrazkami p. t. ***Po Zawierusze.*** Ci, którzy przed Nowym Rokiem nie odnowią prenumeraty, numeru noworocznego już nie otrzymają; przypominamy to zawczasu, aby każdy mógł jeszcze pospieszyć z wysyłką pieniędzy. Jednajcie nowych prenumeratorów, abyśmy mogli coraz bardziej ulepszać „Rolę“. Na żądanie wysyłamy numera okazowe bezpłatnie.

(K. T.) **Poświęcenie nowego kościoła.** W Zdrochcu, w pow. brzeskim, w dniu 5 grudnia dokonał poświęcenia nowego kościoła Ks. Dziekan z Radłowa Ant. Kmietowicz. Na uroczystość przybyło paru księży z obcych parafii. Ks. wikary z Zaborowa wygłosił bardzo rzewne kazanie, którem poruszył wszystkich do łez. Ogromne koszta poniosły dwie gminy: Marcinkowice i Zdrochec, jednak przy pomocy Bożej stanął kościół, mieszczący w sobie z górą 3.000 ludzi. Same mury z nakryciem kosztowały wraz z oknami witrażowemi przeszło 100.000 koron, nie licząc zwózki materyału i pomocy do murarzy. Kościół jest piękny i parafianie bardzo radzi są, że dokonali w zgodzie i jedności tego dzieła ku chwale Bożej.

(W. S.) **Otwarcie czytelni.** W dniu 8 grudnia odbyło się w Grobli, w powiecie bocheńskim, uroczyste otwarcie czytelni krakowskiego Tow. Oświaty Ludowej. Na otwarcie przybył opiekun czytelni miejscowy ks. Proboszcz, kierownik szkoły tutejszej p. Czyżewicz oraz przeszło 40 gospodarzy miejscowych. Sala wypełniona była po brzegi. Słowo wstępne o zadaniu i pożytkach czytelni wygłosił p. Czyżewicz. Po dłuższej pogawędce, odbyło się pierwsze wypożyczanie książek, które prawie wszystkie zostały wypożyczone.

(K. T.) **Czytelnia w Wietrzychowicach.** W gminie naszej, w powiecie dąbrowskim, d. 1 grudnia założono czytelnię parafialną. Miejscowy proboszcz ks. Józef Lasak w pięknej i rozumnej przemowie wobec licznych parafian w lokalu kasy Rajfeisena podniósł ważność i korzyści z czytania dobrych książek. Wybrano następnie zarząd czytelni. Kierownikiem wybrany został Ks. Józef Lasak, zastępcą Ks. Jan Pięta, skarbnikiem Jan Kabat, bibliotekarzem Jan Tokarski, zastępcą Jan Pudło. Po wyborach wpisało się przeszło stu członków, którzy wypożyczyli książki. Szczęść Bożo zbożnej pracy.

Zdradliwe ordery. W parafii Zawałce, w powiecie liskim, w lecie b. r. ksiądz ruski zaczął tworzyć między Rusinami niby to bractwa wstrzemięźliwości od pijatyki, do których przystąpili z całej parafii wszyscy prawie Rusini. Członkom bractwa dawał medale większe od 5 koronówki. Z jednej strony medalu jest krzyż szyzmatycki, z drugiej strony portret cara. Jest to znowu przykład moskalofilskiej i prawosławnej agitacyi w naszym kraju.

Nowe banknoty 100-koronowe. Dnia 23 b. m. rozpocznie Bank austryacko-węgierski wyda-

wanie banknotów 100-koronowych z datą 1912 roku. Banknoty są wykonane na papierze bez znaków wodnych, drukiem obustronnym i opatrzone na jednej stronie niemieckim, na drugiej zaś stronie węgierskim tekstem. Obie strony banknotu są zupełnie odmienne zarówno w rysunku jak i barwie.

Cesarz a obecne przesilenie. Jak się cesarz zachowuje podczas obecnego przesilenia? Na pytanie to daje odpowiedź jedna z gazet wiedeńskich w ciekawym artykule, który zasługuje na baczną uwagę. Oto jego treść: Pewien pan — pisze wspomniany dziennik wiedeński — został w dniach najcięższego przesilenia przyjęty przez cesarza na posłuchaniu. — Na prośbę o informacye, jakie jest zachowanie cesarza podczas obecnego przesilenia, otrzymał ów dziennik następującą odpowiedź: Cesarz zachowuje się podczas obecnego przesilenia wprost dziarsko, bardziej dziarsko, aniżeli my wszyscy. Cesarz jest spokojny, słucha codziennie z właściwą sobie dokładnością wszelkich raportów, tak, że nie można u niego zauważyć ani śladu jakiegokolwiek zdenerwowania. Zdolność postanowienia jest u cesarza w 83 roku życia zadziwiająca. Cesarz chce pokoju i niejednokrotnie publicznie dawał wyraz temu swemu przekonaniu, którego cesarz nie zmieni, o ile umiarkowane żądania monarchii będą uwzględnione. O ileby jednakowoż to nie nastąpiło, cesarz podpisałby odnośny rozkaz, należący do jego wyłącznej władzy po myśli ustawy wojskowej. A uczyniłby to z tą samą równowagą umysłową, z jaką podpisuje każdy inny ważniejszy akt. Cesarz, gdyby poczucie obowiązku do tego go zmusiło, wykonałby przysługujące mu po myśli konstytucyi prawo i wypowiedziałby wojnę stanowczo i bez wahania. Cesarz nie wątpliwie by wolał, by spór z Serbią został pokojowo załatwiony, gdyż chce, aby nadany mu przez Europę przydomek »cesarza pokoju« był usprawiedliwiony.

Lekkomyślne żarty z bronią. Straszny wypadek zdarzył się w Wiedniu w X dzielnicy, a powodem jego były niewczesne żarty z bronią. W pewnym domu zabawiało się liczniejsze towarzystwo, złożone z młodych dziewcząt i chłopców grą w fanty. Kto w czasie zabawy pomylił się, musiał dać fant. — Wśród gości znajdował się także Karol Pokorny, praktykant w jednym z tamtejszych banków. Wyczerpał on już zapas przedmiotów, które złożył jako fanty, to też kiedy znowu wskutek nieuwagi pomylił się w grze, nie mając nic innego pod ręką, złożył jako fant rewolwer. W chwilę później, gdy przystąpiono do sądzenia złożonych fantów, jeden z obecnych gości, niejaki Kratty, ujął rewolwer w rękę, przyłożył go do skroni i żartując — bo przekonany był, że rewolwer nie nabity — nacisnął cyngiel ze słowami: »Teraz zastrzelę się«. Zanim właściciel rewolweru, Pokorny, zdołał krzyknąć, że rewolwer jest nabity, padł strzał i Kratty runął na ziemię z przestrzeloną skronią. — Kiedy wśród zebranych opanowano pierwsze przerażenie, rzucono się ku leżącemu w potokach krwi Krattowi, wszelka jednak pomoc okazała się bezcelową, gdyż wystrzał spowodował natychmiastową śmierć.

Chłop polski przeciw Prusakom. W Księstwie Poznańskiem zanosi się na strajk rolny przeciw wywłaszczycielom niemieckim. W niektórych okolicach postanowił lud roboczy we wszystkich majątkach, których właścicielami są Niemcy, podziękować w dniu 1 stycznia 1913 r. za służbę z terminem od 1 kwietnia tegoż roku. To postanowienie wywołane jest zastosowaniem prawa o wywłaszczeniu. Lud ma swoje tłómaczenie sprawy, skoro bowiem pozostaną całe liczne majątki bez rąk do pracy, wtedy właścicielom tych majątków nie pozostanie nic innego, jak sprzedać je kolonizacyi, która, mając wówczas dosyć ziemi, nie będzie miała powodu wywłaszczać. Gdy ludziom zwrócono uwagę na to, że przecież oni z czegoś żyć muszą, i co zamierzają począć, odpowiedzieli, że przecież Słowianie na Bałkanie inne trudności zwalczyć musieli, cóż więc wielkiego ponieść drobne straty i trochę niewygody, gdy chodzi o obronę naszej ukochanej ziemi: »Toć dość jeszcze polskich panów, dadzą nam robotę, a nie wezmą zagranicznych robotników, których miejsce my zajmiemy; będzie nam niewygodnie, ale u swojego«. Zanosi się tedy na walkę nieco ostrzejszą, niż dotychczas, przeciw wywłaszczycielom pruskim. Strajk rolny byłby bronią potężną w rękach ludu polskiego.

Prusacy popierają maryawitów. Od roku mniej więcej znajdują się od czasu do czasu zamieszczane w tem lub owem protestanckiem piśmie w Prusach sympatyczne artykuły dla sekty maryawickiej w Polsce. Szczególnie pastor Rhode w Ostrzeszowie robi propagandę dla tej sekty wydaniem broszury »U Maryawitów«, w której z największym zapałem mówi o »owych największą szlachetnością przejętych ludziach«. Hakatystyczne pruskie pisma korzystają z tego, aby propagować maryawityzm w polskich dzielnicach, należących do Prus. W maryawityzmie znaleziono bowiem odpowiedni polityczny środek, aby Polaków poróżnić i odwrócić ich od Stolicy św.; te same względy spowodowały swego czasu i rząd rosyjski, aby ową sektę wziąć w obronę. W Królestwie Polskiem maryawityzm upada zresztą i coraz to więcej popada w śmieszność, narażając się tylko na szyderstwo rozsądniejszych ludzi.

Spadochron dla lotników. Sztuka latania w powietrzu pociągnęła za sobą niezliczoną już dziś ilość ofiar. Najmniejszy błąd w budowie aparatu, czasem silniejszy podmuch wichru, chwilowa nieuwaga, spowodować może śmiertelny upadek lotnika.



Nic więc dziwnego, iż umysły wynalazców dawno pracowały nad wymyśleniem takiego przyrządu, którytby nawet w razie katastrofy mógł służyć do ocalenia rozbitka powietrznego. Kilku takich wynalazców przepłaciło życiem swoje próby z rozmaitymi spadochronami, ale to nie zniechęciło innych śmiałków do dalszej pracy w tym kierunku. Jakiemuś niewiadomemu mechanikowi udało się skonstruować spadochron z materyi jedwabnej, który otwiera się sam podczas spadania i chroni lotnika przez powolne spadanie od kalectwa lub śmierci. Spadochron taki przymocowuje sobie lotnik na plecach. Po raz pierwszy wypróbowano tego rodzaju aparaty w Rosyi z bardzo pomyślnym skutkiem. To też rosyjskie ministerstwo wojny zakupiło wynalazek i chce go użytkować w wojskowym oddziale lotniczym. Rycina nasza przedstawia próby z nowym spadochronem.

Administrator dyecezyi warszawskiej. Wobec śmierci arcybiskupa Popiela, kapituła wybrała administratora dyecezyi w osobie ks biskupa Ruszkiewicza. W r. 1884 ks. Kazimierz Ruszkiewicz był mianowany biskupem sufraganem warszawskim. Dnia 22 czerwca 1909 r. obchodził pięćdziesięciolecie kapłaństwa i dwudziestopięcio-letni jubileusz piastowania dostojeństwa biskupiego.

Rewizye polskich stowarzyszeń. Władze rosyjskie rozpoczęły w Wilnie, na Litwie, szczegółowe rewizye stowarzyszeń dobroczynnych i społecznych. Urzędnicy zarządu gubernialnego przeglądają dokumenty, korespondencye, sprawozdania kasowe. W towarzystwach polskich znaleziono wszystko w porządku, zgodnie z przepisami prawnymi, co nie dało powodu Moskalom do ich zamknięcia lub innych prześladowań, a nie ulega wątpliwości, że rewizye przedsięwzięli z tymi zamiarami.

Unieważnienie wyboru p. Jagiełły. Z Petersburga donoszą do pism warszawskich, że komisya, sprawdzająca wybory posłów Dumy, uchwaliła jednomyślnie wnieść unieważnienienie wyboru p. Jagiełły. Sprawozdawcą do Izby obrany pos. Ładomirski, rosyjski narodowiec; do komisyi nie wchodzi ani jeden Polak. Z komisyi uchwała przejdzie do sekcyi sprawdzań wyborów, poczem do pełnej Dumy. Do unieważnienia wyboru przez Dumę, trzeba kwalifikowanej większości dwie trzecie głosów,

Pozbawienie godności wielkoksiążęcej. Wielki książę Aleksandrowicz, młodszy brat cara, który zawarł we Włoszech małżeństwo z panią Wróblową, podobno Polką, został za to przez cara pozbawiony wszelkich rang wojskowych i godności wielkosiążęcej. Ukaz cara, ogłaszający to postanowienie, zarazem unieważnia jego małżeństwo z Wróblową i orzeka, iż dzieci z tego małżeństwa pochodzące, mają uchodzić za nieprawe.

Następstwo tronu w Rosyi. Wobec ciężkiej choroby carewicza ważną dla Rosyi sprawą jest następstwo tronu. Otóż w razie śmierci rosyjskiego następcy tronu, najprawdopodobniej zostałby następcą w. ks. Dymitr Pawłowicz. W. ks. Dymitr jest jedynym bezpośrednim potomkiem cara Aleksandra II., którego synem najmłodszym jest jego ojciec, który miał za żonę ks. Aleksandrę grecką. W. ks. Dymitr liczy 21 lat. Uchodzi podobno za młodzieńca bardzo uzdolnionego.

Poważny głos o Rosyi i Serbii. Były sekretarz osobisty cara ks. Uchtomskij w jednej z największych gazet rosyjskich ogłasza artykuł, w którym przestrzega przed łączeniem interesów rosyjskich z interesami serbskimi i przed wywoływaniem wojny z Austryą. Między innemi w artykule tym wywodzi się: »Chodzi o stwierdzenie, że błędną jest myśl utożsamiania interesów rosyjskich z interesami przemijających rządów w Serbii. Mamy 100 milionów ludzi, którzy nie umieją czytać ani pisać. Mamy warstwę inteligencyi, która się wzajemnie zwalcza i pożera. Mamy za sobą i przed sobą rewolucyę, mamy po wsiach głód i opilstwo, bezrząd i anarchię, po miastach prostactwo i zdziczenie. Nie mamy jasnych rządów, ani określonego pojęcia o narodowości i ojczyźnie. Nie mamy ani zasad, ani ludzi do najważniejszych spraw i stanowisk. Mamy na północy dziką Syberyę, na wschodzie morze niebezpieczeństwa żółtego (Chiny i Japonia), na południu nieprzyjazny muzułmanizm, na zachodzie Europę, która czycha na nas z paszczą chciwie rozwartą. Nie mamy wydatnych dróg komunikacyjnych, toniemy w wódce. Awanturnicy chcą, abyśmy traktowali Rosyę na równi z Serbią. Dlaczego nie na odwrót? Rosya jest przedewszystkiem krajem rosyjskim. Przyszłość rosyjska ma mało wspólności z serbską«.

Fatalna uczta. O ciekawym wypadku donoszą z Warszawy. Na ulicy Leszno rzemieślnik, niejaki Feliks Dąbrowski, z okazyi wygrania w sądzie procesu, urządził przyjęcie dla jedenastu swych świadków. Zaraz po pierwszej kolejce uczestnicy, będący dotąd w najlepszych homorach, skarżyli się na ból głowy, a niektórzy dostali takich boleści, że musiano ich odstawić do szpitala. Tam mimo ratunku cztery osoby zmarły, między niemi sam gospodarz; piąta walczy ze śmiercią. Przypuszczają, że wódka, którą gospodarz częstował, zaprawiona była jakąś truciżną.

Królowa rumuńska o bałkańskich wypadkach. Pewien dziennikarz, bawiący w Bukareszcie, miał rozmowę z królową rumuńską, która znaną jest jako autorka licznych książek o ostatnich wypadkach na Bałkanie. »Osobiście — mówiła królowa — od pierwszej chwili wierzyłam w tryumf ludów bałkańskich, podczas gdy całe moje otoczenie wyrażało przekonanie, że będą zupełnie zniszczone«. O Bułgarach wyrażała się królowa z podziwem. »Zawsze podziwiałam ten lud, zgięty przy pracy na roli, trzeźwy, cierpliwy, a w duszy noszący święty ogień wspaniałej, nigdy nie gasnącej miłości ojczyzny«. Nie wierzyła w odrodzenie Turcyi, które miało nastąpić po zapanowaniu konstytucyi. »Sądzę raczej — mówiła — że forma konstytucyjna, proces rozkładczy przyśpieszyła, muzułmański bowiem duch nie da się pogodzić z zasadami dzisiejszej cywilizacyi. Niemniej jednak przyznaję Turkom wiele cennych zalet i ubolewam nad ich losem.

Śmierć na stosie. Piękna księżniczka Zeki, której przecudną urodę opiewa wielu poetów tureckich, zamężna za oficerem, należącym do sztabu generalnego tureckiego, zmartwiła się niepomiernie, dowiedziawszy się o niepowodzeniach oręża tureckiego. Ogarnięta rozpaczą, postanowiła pozbawić się życia, a zamiar ten powzięła wtedy, gdy doszły ją wieści o ucieczce wojska tureckiego z pod Lile Burgas. Wybrała straszną śmierć na stosie. W pięknym swoim pałacu kazała służbie ustawić na obszernym dziedzińcu olbrzymi stos. Stos ten podpaliła sama, a następnie, wyszedłszy na wysoki krużganek, skoczyła stamtąd w płomienie, w których znalazła śmierć. Wprawdzie udało się ugasić płomienie, jakie ogarnęły jej suknie, jednakże obrażenia, jakie odniosła przy upadku oraz oparzenia były tej natury, iż nie udało się pięknej księżniczki wyrwać z objęć śmierci.



Sprzeniewierzenia ministrów tureckich. Oprócz wykrytego niedawno spisku młodotureckiego, rzad turecki wpadł na trop sprzysiężenia, które dążyło do osadzenia na tronie byłego sułtana Abdul Hamida. Jak się obecnie okazuje, ministrowie, należący do komitetu młodotureckiego, zużywali mi-

liony, przeznaczone na cele wojskowe, dla organizowania swoich partyj politycznych.

Dzielnica handlowa w Konstantynopolu. Galata, jedna z największych dzielnic Konstantynopola, skupia w sobie środowisko handlowo robotnicze. W dzielnicy tej znajdują się przeważnie sklepy i przedsiębiorstwa Europejczyków. Tu też mieszczą się ulubione portowe kawiarnie, w których spotkać można nierzadko marynarzy wszystkich państw europejskich.



W Galacie mieszka przeważnie ludność niezamożna, w przeciwieństwie do dzielnicy Pera, gdzie znajduje się kolonia bogatych i wpływowych Europejczyków. Obrazek nasz przedstawia ruch uliczny w tej dzielnicy.

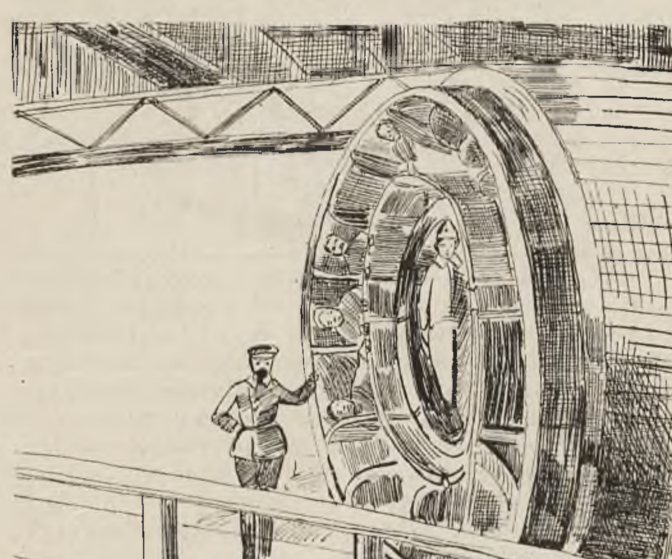
Fałszerstwo pieniędzy rosyjskich. We Francyi i Belgii istnieje nowa organizacya fałszerzy banknotów rosyjskich. — Operacye bandy fałszerzy mają być jeszcze większe, niż niedawno wykrytej w Paryżu. Urzędnicy policyi rosyjskiej udają się za granicę celem wyśledzenia bandy. Jednocześnie donoszą o wykryciu niezmiernie sprytnie podrobionych monet złotych. W mennicy (fabryce pieniędzy) petersburskiej badano taką złotą monetę i nie potrafiono ściśle określić, z jakiego metalu ją podrobiono. Moneta zarówno pod względem dźwięku, jak wagi zbliżała się do monety prawdziwej. Wogóle w Rosyi kursuje ogromna ilość fałszywych złotych monet.

Ksiądz w latawcu. Jedno z pism francuskich opowiada niezwykłą historyę, jaka zdarzyła się w Algierze, w północnej Afryce. Według doniesienia tego, pewien pułkownik. podczas oglądania terenu, zajętego przez zbuntowanych przeciw władzy francuskiej krajowców, otrzymał śmiertelną ranę kulą. — Zanim rozstanę się z życiem — mówił na łożu śmiertelnem pułkownik — pragnąłbym pojednać się z Bogiem. Sprowadźcie mi księdza... — wzdychał, zwracając się do otoczenia. Zgromadzeni przy łożu umierającego byli w niemałym kłopocie. O sprowadzeniu księdza mowy być nawet nie mogło, gdyż na miejscu kapelana żadnego nie było, najbliższa zaś osada francuska, zaopatrzona w kościół i księdza, oddalona była o jakieś 200 kilometrów. Zanimby konno zdołano przebyć tak znaczną przestrzeń, pułkownik by już umarł. Na szczęście zjawił się lotnik wojskowy, porucznik Bregard, który dowiedziawszy się, o co chodzi, oświadczył, iż wypełni wolę umierającego pułkownika, sprowadzając mu księdza w latawcu. Jak obiecywał, tak się też stało. Otrzymawszy od komendanta pozwolenie. Bregard wsiadł do aparatu i w kilka godzin przeleciał ogromną przestrzeń, przywożąc ze sobą upragnionego księdza. Przybył w samą porę, gdyż w chwilę po zaopatrzeniu pułkownika w ostatnie Sakramenta św. — ten wydał ostatnie tchnienie. Od czasu istnienia maszyn latających, jest to pierwszy wypadek przyniesienia umierającemu tą drogą ostatniej pociechy religijnej.

Trująca farba. Wśród szwedzkich urzędników państwowych, pracujących w rozmaitych biurach w Sztokholmie i na prowincyi, stwierdzono cały szereg wypadków otrucia się arszenikiem. Na razie nie zdołano wykryć przyczyny tego tajemniczego objawu. Dopiero ściśle przeprowadzone śledztwo wykazało, że w tych biurach, w których urzędnicy zachorowali wśród objawów otrucia, pomalowano w ciągu lata ubiegłego ściany farbą olejną, zawierającą arszenik. Z nastaniem zimy, gdy biura zaczęto opalać, farba ta, pod wpływem ciepła pokruszyła się nieznacznie i pył jej trujący, unosząc się w powietrzu, przenikał do płuc urzędników. Takim sposobem ulegli zatruciu urzędnicy w kilku miastach szwedzkich. Obecnie urzędnicy zatruci, dowiedziawszy się o wyniku śledztwa, wytoczyli państwu proces o zwrot strat za uszkodzenie zdrowia. Skarb szwedzki będzie musiał zapewne zapłacić grubą sumę tytułem odszkodowania.

Latawcem ponad ocean. Jak donoszą z Londynu, słynny lotnik angielski, Graham White, ogłasza, iż poczynił już wszelkie przygotowania do lotu ponad oceanem do Ameryki. Podróż ma trwać 30 godzin. White ma w tym celu wybudować olbrzymi aparat lotniczy z czterema motorami, każdy o sile 250 koni. Na latawca wsiądzie, by odbyć podróż do Ameryki, prócz Grahama White'a, sześć osób, a mianowicie dwu lotników, dwu mechaników i dwu podróżnych. Celem podróży jest port w Nowym Jorku. Koszta maszyny i złączonych z podróżą wydatków, mają wynosić 300 do 400 tysięcy koron.

Nowa zabawa w Londynie. Człowiek współczesny, przemęczony, przepracowany, łaknie jakowejś rozrywki, pożąda przyjemności, któreby mu kazały zapomnieć choćby na chwilę o troskach i pracy. Tem też da się wytłumaczyć zjawisko ciągłego powstawania najrozmaitszych urządzeń zabawowych, coraz to wymyślniejszych, coraz to dziwaczniejszych. Przy pomocy techniki, wymyśla się rozmaite »Koła olbrzymy«, »Kolejki górskie«, »Koła śmiechu«, i t. p.



Najnowszym takim figlem, pociągającym swą niezwykłością jest wynalezione w Londynie olbrzymie koło o kilkunastu metrach średnicy, z siedzeniami, pomieszczonemi na obwodzie koła. Cała konstrukcya uderza tem, że koło nie jest pomieszczone na pionowej, lecz poziomej osi. Skutkiem tego siedzący w kole, wpleceni są dosłownie w nie i patrzą na otoczenie pod nienaturalnym kątem widzenia. Gdy koło ruszy z miejsca za popędem motoru elek-

trycznego, zaiste niezwykłych wrażeń doświadczać muszą uczestnicy »zabawy«. Obrazek nasz przedstawia to ciekawe koło.

Nieszczęśni więźniowie na Syberyi. Z ciężkich robót na Syberyi dochodzą wieści o nowych strasznych wypadkach. W Ałgaczach (Ałgacze, Kutomara, Zerentuj, Malcewo, Akatuj — tworzą t. zw. katorgę okręgu Nerczyńskiego) we wrześniu b. r. grupa politycznych skazańców, protestując przeciw zastosowaniu chłosty, oraz przeciw zrównaniu przestępców politycznych ze zwykłymi kryminalistami, zażyła trucizny. Większość odratowano; jeden (Michajłow) zwariował, drugi (Puchalski) zmarł w drodze do szpitala, trzech zaś Ryczkow, Lejbason i Masłow dokonali drugiego zamachu samobójczego i poprzecinali sobie żyły. W jakiś czas potem również z powodu zastosowania kary cielesnej popełniło w tym samym więzieniu samobójstwo sześciu skazańców. W Kutomarze w związku z temi samobójstwami wybuchł strajk głodowy, który trwał 15 dni i zakończył się przewiezieniem nieprzytomnych z głodu więźniów do szpitala, gdzie wobec groźby sztucznego karmienia, poczęli jeść.

W palarni opium. Zbytnie używanie tego środka odurzającego przynosi niedającą się wprost opisać szkodę i na odwrót, używanie w określonych, niewielkich ilościach, wywołuje u danego człowieka pewnego rodzaju stan przyjemnego podrażnienia, w którym zapomina o troskach i bólach szarego dnia codziennego. Czuje jakąś dziwną swobodę, lekkość i wesele. I na tem właśnie polega ta jakaś dziwna, przyciągająca moc opium i temu zawdzięcza ono swoje rozpowszechnienie.



W Ameryce, oraz w Azyi, istnieją palarnie opium, gdzie za drobną opłatą używa się przyjemności palenia. Po pewnym czasie rysy obecnych palaczy zaczynają łagodnieć i wypogadzać się, zmarszczki z czoła znikają, oczy przygasłe błyskać poczynają żywym ogniem. Błogość jakaś nieznana rozlewa się po całem ciele. W Europie jest palarni opium bardzo mało, gdyż prawo w obawie nadużyć, wydaje bardzo rzadko tylko pozwolenie na otwieranie tego rodzaju zakładów. Obrazek nasz przedstawia taką palarnię, zapełnioną gośćmi.

Omnibus porwany przez fale morskie. O kilka mil od Algieru, kraju północno afrykańskiego leży niewielka lecz licznie uczęszczana miejscowość Langhomat, zamieszkała przez Anglików. Położona opodal toru kolejowego i wsunięta nieco w głąb kraju, łączy się z Algierem za pomocą doskonale utrzymanego gościńca, na którym służbę komunikacyjną pełnią omnibusy, należące do angielskiego Towarzystwa przewozowego. Część drogi z Algieru do Langhomat przeprowadzona została wzdłuż olbrzymiej tamy nadmorskiej, a dopiero później zwraca się gościniec w głąb kraju i prosto już wiedzie do leżących ponad nim miejscowości. W zeszłym tygodniu wyruszył przed południem z Algieru do Langhomat omnibus, wioząc 12 osób. Na drodze panował silny wiatr, a morze, na którem wzdłuż tamy prowadziła część drogi, było mocno wzburzone. Kiedy omnibus znalazł się na drodze na tamie, wybiegła z morza olbrzymia fala, zalała wóz całkowicie, a następnie wracając do morza, zabrała go ze sobą. Woźnica i jego żona, siedzący na koźle, ujrzeli na czas jeszcze nadbiegającą falę i zdołali uniknąć niebezpieczeństwa, natomiast z 12 osób, znajdujących się wewnątrz, ani jedna nie ocalała, gdyż omnibus, uniesiony falą, utonął w morzu.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Jan Kaczak w D.: Straszenie ludzi wojną uważamy za zgubne i dlatego nie idziemy w ślad innych gazet, które wypisują niestworzone brednie. Może być, że ten i ów uchciwi się na senzacyę, wskutek czego gazetka zyska kilku prenumeratorów, ale później, gdy czytelnik przekona się, że gazetka okłamywała go za jego własne pieniądze, odrzuci ją ze wstrętem. Chcąc służyć dobrej sprawie, drukujemy tylko rzeczy prawdziwe, pomijając bajania gazeciarskie, które już, niestety, tyle szkody społeczeństwu przyniosły. Łączymy serdeczne pozdrowienia i dziękujemy za pamięć. — Jacek Obrochta w L.: Otrzymaliśmy, dziękujemy i łączymy ukłony. — Teofil Tryczyński w N.: Daliśmy poprzednio nadesłany — obecny na później. Pozdrowienia. — Kazimierz Szymański w P.: Artykulik odłożyliśmy do Kalendarza, lecz myli się Pan, twierdząc, jakobyśmy za artykuły do Kalendarza przeznaczali jakieś szczególne nagrody. Za piękne życzenia serdecznie dziękujemy. — Józef Pałac w O.: Wierszyki pomimo niektórych braków zdradzają pewien talent. Gdy miejsce pozwoli, umieścimy je w przyszłym roku. — Władysław Słabosz w B.: Jeżeli numer zaginie, należy go natychmiast reklamować. Reklamacyę pisze się na zwykłej ćwiartce papieru, mniej więcej tak: »Niniejszem zawiadamiam, iż numeru (tu podać numer Roli) nie otrzymałem«. Pod spodem trzeba podać swój adres, potem kartkę złożyć i zaadresować: »Rola«, Kraków, ul. św. Tomasza 32. Nad adresem należy napisać słowo: Reklamacya. Reklamacyi takiej nie opłaca się, ale bezwarunkowo nie można wtedy kłaść do koperty i zaklejać. O książce jest dzisiaj ogłoszenie. — Wincenty Namysłowski w O.: Wysyłamy najregularniej. Wszystkie numera do każdej poczty, jeżeli ich idzie najmniej trzy, wiążemy w grubą opaskę. Ponieważ na pocztę w W. idzie dość dużo egzemplarzy, więc w drodze nie może ani jeden przepaść. Sposób reklamowania podajemy w poprzedniej odpowiedzi. — Andrzej Macioł w S. B.: Za przesłane nam życzenia serdecznie dziękujemy. — Franciszek Piechota w R.: W losowaniu »Podarku Wielkanocnego« będzie Pan brał udział. Łączymy pozdrowienia. — Jan Kita w M.: Za obietnicę jednania prenumeratorów szczerze jesteśmy wdzięczni. — Franciszek Dziubek w D.: Szczerzebyśmy radzi, aby los padł na Pana, ale to od nas nie zależy tylko od... losu. — Jerzy Siedlaczek w L.: Gdyby los padł na Pański numer, ale nie na Encyklopedyę, lecz na co innego, to niech nas Pan zaraz zawiadomi o swojem życzeniu, a my, gdyby wartość była równa, wyszlemy Encyklopedyę. — Emil Nierychel w Z.: Zastosujemy się do życzenia, ale może być, iż warunki się zmienią i rozłączenie nie będzie długie. — Korczak: Za tak ładne życzenia serdecznie dziękujemy. Daj Boże, aby te ziarna jak najprędzej plon wydały. Utwór »Stacha z Mazowsza« będzie, ale później. — Franciszek Zydroń w D.: Podziękowania takie są reklamą dla firmy, a reklam bezpłatnie umieszczać nie możemy. Po utwory sceniczne najlepiej wprost zwrócić się do księgarni. Za stosowne uważamy utwory Jadwigi z Łobzowa, o których w dzisiejszym numerze jest wzmianka. Można napisać wprost do autorki, adresując: Jadwiga Strokowa, Kraków, Aleja Słowackiego 7. — Jan Bratek w W.: Za słowa uznania i przychylność okazywaną nam serdecznie dziękujemy. Po cennik książek niech Pan napisze do którejkolwiek księgarni, gdyż my żądanych książek nie posiadamy. — Jan Świątek w Ż.: »Noc w Betleemie« jakkolwiek dobra dla »Roli« jednak zadługa, gdyż nie wszyscy lubią czytać poezye. Z obecnie nadesłanych wierszy »Nad kołyską« wkrótce będziemy starali się umieścić, »Niedola«, nietety, znów zadługa. Łączymy serdeczne pozdrowienia. — Jan Adamczyk w Ł.: Przysłał Pan 9 Kor. Na czyje nazwisko mamy zapisać drugą prenumeratę? — Marya Wawrzyk w P.: »Wigilia Leśniczego« nadeszła zapóźno do numeru świątecznego, schowaliśmy więc do Kalendarza. — Stanisław Ryś w L.: Otrzymaliśmy na prenumeratę Kor. 6 — możemy służyć przekazem. Kalendarze wysłaliśmy zaraz po otrzymaniu listu. Serdeczne życzenia »Wesołych Świąt« nawzajem, o ile mogą być takiemi na obcej ziemi. Władysław Wołowiec z S., Jan Król z Ż., Eleonora Ekert z S.: Prawdopodobnie Kalendarze minęły się z kartkami. — Zygmunt Miętus: Zamówione kartki zostały wysłane 10 grudnia.

Zwracamy uwagę na ogłoszenie Maćka Bzdury na okładce.

Zaproszenie do przedpłaty.

Prenumerata na rok 1913 wpływa szybko. Odnawiają ją dotychczasowi nasi prenumeratorzy, co nas bardzo cieszy i dodaje otuchy do dalszej a usilnej pracy, aby się im odwdzięczyć za usłuchanie naszego zaproszenia, lecz także z każdym dniem powiększa się liczba nowych prenumeratorów, co jest dowodem, że ***Rola*** swą pracą skupia obok siebie coraz większą liczbę przyjaciół.

Rola oprócz pięknego

Kalendarza Obrazkowego

zawierającego wielką liczbę obrazków, powiastek, humoresek i t. p. a nadto portrety wielu naszych współpracowników, da w ciągu roku 1913 naszym czytelnikom dwa wspaniałe podarki a mianowicie:

Podarek Szczęścia i Podarek Wielkanocny,

o czem już pisaliśmy w poprzednich numerach. Wobec tego i wobec setek powiastek, artykułów, legend, obrazków i t. p. rzeczy kwota **4 Kor. 50 hal.** jaką wynosi całoroczna prenumerata, jest bardzo małą, przeto nikt nie powinien zwlekać, lecz corychlej ją nadsyłać.

Poniżej przytaczamy część małą z tego, co będziemy drukowali w r. 1913 w ***Roli.***

W naszych tekach redakcyjnych posiadamy zatem bogaty zapas **artykułów wstępnych,** umoralniających i wzywających do dobrego, a uzupełniać ten zapas będziemy nieustannie, pisząc w razie potrzeby artykuły o najważniejszych wypadkach, nas dotyczących.

Z powieści, umieszczać będziemy w każdym numerze po dwie: pierwsza historyczna, druga szczególnie interesująca, z obrazkami umyślnie dla ***Roli*** przygotowanemi. Jako pierwsza powieść pójdzie: **ROK BURZY,** opowiadanie porucznika z r. 1863, które rozpoczęliśmy drukować w numerze 48. Nowi prenumeratorzy otrzymają początek tej powieści z początkiem stycznia.

Jako powieść drugą, ilustrowaną, wydrukujemy w pierwszem półroczu:

PO ZAWIERUSZE, powieść ze stosunków wiejskich w Królestwie Polskiem, oraz

CZARNA ZARAZA, powieść fantastyczną a przecież prawdziwą, przez jednego z najsłynniejszych autorów francuskich napisaną.

Na drugie półrocze mamy przygotowanych więcej również zajmujących powieści, narazie nie zapowiadamy ich jednak, gdyż zajść mogą pewne zmiany w porządku ich drukowania.

CZĘŚĆ OBRAZKOWA będzie jak dotychczas obfita, a być może, że uda nam się ją rozszerzyć, gdy doprowadzimy do pomyślnego skutku rozpoczęte układy z jedną z większych firm wydawniczych warszawskich o liczne i duże obrazki. Oprócz powieści i obrazków będą liczne **Artykuły, Opowiadania, Legendy** i t. p., tak jak dotychczas, w czem wielka liczba nowych utworów, pisanych przez naszych znanych, stałych przyjaciół z pod słomianej strzechy. Z radością Redakcya może stwierdzić, że liczba tych przyjaciół nieustannie się powiększa, że coraz to nowi czytelnicy imaja się pióra, a zapasy w naszych tekach redakcyjnych dalekie są do wyczerpania. — Jako stale pojawiające się, wymienimy:

Maciek Bzdura gada i gadać będzie swe ucieszne a przecież rozumne uwagi o ważnych i ciekawych rzeczach na tym świecie. Jego gadanie nie przeszkodzi jednak naszemu nowemu przyjacielowi, **Bartkowi z pod lasa,** że swą spracowaną przy pługu ręką spisywać będzie dla nas swojskiem wierszem **Gawędy Wawrzka Obywały z Markiem Zakałą.** Nadto stale w każdym numerze wychodzić nadal będą drobne wiadomości bieżące w rubrykach:

Z tygodnia i **Kronika.** Ta ostatnia z obrazkami, jak dotychczas. — **Zagadki** i **humor** na okładce pozostają bez zmiany.

Kto czyta ***Rolę*** od paru lat, ten wie, że bez przechwałki powiedzieć może redakcya o sobie, iż zawsze jak najpilniej stara się dotrzymywać danych obietnic i istotnie ich dotrzymuje. Dlatego w wymienionych powyżej zapowiedziach niema ani słowa przesady lub próżnych przyrzeczeń, a natomiast jest żywa chęć i postanowienie całej redakcyi, by za drobną kwotę rocznie dostarczyć czytelnikom ogromnego zapasu myśli i rozrywki, podnoszącej na duchu, a przynoszącej ukojenie i wytchnienie po ciężkiej pracy.

Ufni w przyjaźń naszych dotychczasowych czytelników, jesteśmy pewni, że nietylko pospieszą niezwłocznie z odnowieniem przedpłaty za samych siebie, ale nadto, że każdy z nich postanowi sobie zjednać i zjedna **choćby tylko jednego nowego prenumeratora.** Niech to wykona naprawdę każdy, a wtedy odrazu ***Rola*** na r. 1913 będzie mogła znacznie więcej dać czytelnikom, niż dziś przyrzekać może.

Zagadki do nagrody.

Ażeby nie przenosić rozwiązań zagadek z roku bieżącego do następnego rocznika, w dzisiejszym i następnym numerze zagadek nie drukujemy. Zaczniemy je znowu umieszczać w numerze 1. z 1913 r.

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 49 »Roli«: 1. Łamigłówka: **Ferdynand Kuraś.** 2. Szarada **Konstantynopol** 3. Szarada: **Parasol.** 4. Łamigłówka: **Paderewski.** 5. Szarada: **Owady.**

* * *

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania wszystkich zagadek nadesłali PP.: Wojciech Lubas z G., K. Drzewicki z N., Jan Małkowicz z G. (wierszem), Jan Stonoga z L., Józefa Hirszberg z K., T. Chara z S., Maciej Prądzyński z D., Jadwiga Ogniewska z K., Zofia Oraczewska z Ż., Piotr Lipowiak z L., Fr. Teper z M. K., Józef Kobylański i Czytelnia T.S.L. z C., Józef Adamczyk z W. S., Józef Kołatek z S., Marya Radlmesserówna z S., Adela Bezokówna z K. M., Janina Midowicz z S., Jan Wojnar z M. G., Józef Drag z R., Fr. Żydroń z D., P. Juroszek z I., K. Sikora z S.

Nagrody wylosowali PP.: **Jan Stonoga** z L. p. t. ***W pogoni za szczęściem*** i **Maciej Prądzyński** z D. p. t. ***Sieroty.***

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 17 grudnia:

Pszenica	Kor.	10 10	do	10·50	za 50 kg.
Żyto	"	9·65	"	10·05	"
Jęczmień	"	9.—	"	9 60	"
Owies	"	9·70	"	10 10	"
Otręby pszenne		6 75		6·85	"
Otręby żytnie		6·70		6 85	

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 17 grudnia:

Buhaje	Kor.	112	do	300	za sztukę
Woły	"	300		400	"
Krowy		136	"	300	
Jałówki		100	"	190	"
Cieleta	"	28	"	70	
Owce i kozy		17		20	
Świnie bita waga)		144		152	za 50 kg.

Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Jan Leśniak z M. 2·32 K., Andrzej Woźniak z Ch. 2 K., St. Niemiec z R. 2·50 K., Eman. Dostal z K. 2 K., Jan Król z W. 2 K., Jan Samolej z . 2 K., Urząd pocztowy z B. 2 K., Walenty Śmiałek z D. 2 K., Stanisław Lis z J. 2 K., Alojzy Czekański z T. 2 K., Wincenty Ujejski z U. 2 50 K., W. Zawiślak z G. 2 50 K., Fr. Szajer z M. 2·25 K., Jan Olszok z G. 2 K., Fr. Brożek z K. 2 K., Wojciech Piwowarczyk z U. 1 K., Cypryan Potyrała z P. 2 K., Michał Legimowicz z M. 2 K., Ludwik Łabędź z S. 2·50 K., Andrzej Wnękowicz z W. 2·50 K., Stanisław Długosz z K. 2 K.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bazzara**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.